



98/6520

K

117. 1946

117. 1951

118. 1946

117.

brak



32

117.

117.

1946

301

BIBLIOTEKA RZECZY NIEZBĘDNYCH DLA POLAKA
№ 1.

OBLEGANIE JASNEJ GÓRY

PRZEZ WOJSKA MOSKIEWSKIE

NA PODSTAWIE ŹRÓDEŁ HISTORYCZNYCH

opracował

Ks. A. W.



WARSZAWA

Nakład Księgarni Konstantego Treptego
New-York. — The Polish Book Importing Co.

65.1810

K-98/6520



7.12

30,00

K 138755
339569 I

PRZEDMOWA.

Dziejopisarze nasi setki już ksiąg zapełnili opisami wypadków oblężenia Jasnej Góry w roku 1655, przez wojsko generała szwedzkiego Burcharda Müllera, oraz o dzielnej, wiekopomnej obronie tego miejsca świętego pod wodzą przeora klasztoru, ks. Augustyna Kordeckiego.

Śmiało rzec można że dziś, w czasach dość już rozpowszechnionej u nas oświaty, niema chyba Polaka, któremu czy to z historji, czy z pomnikowych powieści Henryka Sienkiewicza, bądź z innych źródeł, nie byłyby znane dzieje napaści żołdactwa Gustawa Adolfa na twierdzę Jasnogórską, zakończonych sromotnym odwrotem najeźdźców.

Natomiast książki przeznaczone do ogólnego kształcenia, milczą jakoś do tej pory o kilkakrotnie powtarzanych próbach zawładnięcia przybytkiem N. M. P. Częstochowskiej przez wojska carowej moskiewskiej Katarzyny II.

Zamierzyłem o ile możliwości zatrzeć tę szczerbę i wypełnić brak wiadomości o tak ważnych wypadkach w dziejach Jasnej Góry i na podstawie źródeł naukowych, a głównie cennej monografji d-ra fil. Stanisława Kwasieberskiego, p. t. „Częstochowa za Konfederacji Barskiej“, zbudowałem moją pracę.

A u t o r.

WSTĘP.

Jan III Sobieski był ostatnim królem rycerzem, którego silne ramię, wsławione licznymi zwycięztwami nad wrogami, podtrzymywało wojenną powagę Polski i wzbudzało szacunek świata dla orężnej potęgi państwa.

Dnia 17 czerwca 1696 roku zmarł król Jan w Wilanowie, a jego zgon stał się niejako wzgórzem spadzistem, po którym, losy kraju miały się staczać ku przepaści usłanej licznymi klęskami.

Nie sposób na tem szczupłym miejscu opisać wszystkiego zła, jakie po nieszczęśliwym panowaniu trzech następców zwycięzcy pod Wiedniem, naród polski, dawniej potężny i szczęśliwy, w końcu zaprzedało w niewolę. Trzeba jednakże silnie podkreślić, że głównie, zgubiło Polskę lekkomyślne szukanie przyjaźni i opieki u fałszywych doradców, jakimi dla nas byli zawsze moskale.

Już August II, sas, w r. 1791, chcąc się koniecznie utrzymać na tronie polskim, zawiera w Birżach układ z Piotrem Wielkim, który własnym rekrutem i pieniędzmi, dopomaga do powiększenia armji saskiej i prowadzenia rozmaitych przekupstw, dla ułagodzenia osób przeciwnych nowemu elektowi.

W roku 1704, sejm obiera królem Stanisława Leszczyńskiego, wojewodę poznańskiego, którego popiera swoim wojskiem Karol XII, król szwedzki. Powstają dwa stronnictwa, z czego wynikają niepokojące Polskę właśnie i wojny domowe. Z zamętu korzysta Rosja, wprowadzając na Wołyń i Litwę coraz większe swoje armje. Fałszywy przyjaciel coraz silniej zaciska garść, którą w następstwie ma zagarnąć ziemie nasze.

Po śmierci Augusta II, Moskwa, mając apetyt na polskie Inflanty, nie przestaje gorliwie opiekować się następcą tego króla, Augustem III-cim. Dopomaga mu przeto do zwalenia powtórnych wyborów Stanisława Leszczyńskiego; w końcu swemi intrygami, nawet najazdem zbrojnym, zmusza tego dobrego monarchę do zrzeczenia się praw korony i ustąpienia z Polski.

Po umocowaniu na tronie Augusta III-go, „serdeczny“ nasz przyjaciel bierze za faktorne Kurlandję i zarażem, „dla uspokojenia kra-

ju“ — jak mówi — wprowadza nowe wojska na Litwę.

Zgon Augusta III w roku 1763-cim, kończy drugi okres przyjaźni królów polskich z Rosją.

Zbliża się akt ostatni braterstwa, które ma do cna zmiażdżyć Polskę i rzucić ją na pastwę rozbiorów.

Rosja, której najbardziej zależy na zdruzgotaniu Polski, znalazła sposób podsunięcia na tron człowieka z góry upatrzonego, posłusznego jej skinieniom, człowieka, o którym wie, że jej nie zawiedzie.

Tym faworytem rosyjskim był Stanisław August Poniatowski, zespolony węzłami sympatji z dworem petersburskim i zaufany przyjaciel Katarzyny II.

Carowa rozwija swoje możne stosunki i popierana przez Prusy, domaga się osadzenia na tronie polskim swego ulubieńca, co jej się w rezultacie udaje.

Nowy król nie zawodzi wyrachowań swojej protektorki. Wywdzięcza jej się biernem posłuszeństwem, ściśle wykonywa rozkazy, jakie płyną od carowej i jej ministrów, nie gardzi hojnie mu podsuwanem złotem petersburskiem, które, jako człowiek rozrzutny i lekkomyślny bez granic, rozrzuca pełnymi garściami dla

zadowolenia swoich upodobań artystycznych i przyjemności prywatnych.

Tak więc z roku na rok, zwolna lecz systematycznie, zaprzedaaje byt i przyszłość kraju. Oczyma przymglonymi nieszczeremi łzami spogląda na przygotowania do klęsk, sam w końcu staje na czele przychylniej wrogom konfederacji targowickiej i w rezultacie, kończy nieszczęsne swoje panowanie wtedy, gdy trzy rozbiory, z państwa niegdyś potężnego, pozostawiają jeno szczątki i strzępy.

Pamiętnik pana Witalisa Łepkowskiego herbu Habdank.

W rodzinie Łepkowskich, tej linji, która po ostatnim rozbiorze Polski, po całkowitej niemal utracie majątków ziemskich, z Wielkopolski wyniosła się aż w Mohylowszczyznę, do dziś dnia, z wielką starannością i poszanowaniem, jest przechowywany skrypt pamiątkowy.

Jest to zwitek poślóklých papierów, zapisanych pismem niezbyt kaligraficznym, lecz za to wyraźnem. Skrypt zasługuje ażeby przepisać z niego i ogłosić drukiem ważniejsze wyjątki, albowiem zawiera rzeczy zarówno ciekawe, jak pouczające, o czem uważny czytelnik poniżej się przekona.

Na tytule rękopisu, złożonego z kilku arkuszy papieru, jakiego ongi używano do sporządzania aktów w kancelarjach kościelnych, znajduje się nadpis:

*„Roku 1774-go
Daj Boże szczęśliwie.*

Opis wypadków wydarzonych za czasów konfederacji barskiej, w fortecy Najświętszej Matki Boskiej Częstochowskiej na Jasnej Górze, przez Witalisa Łepkowskiego, naprzód właściciela i dziedzica wsiów Borzęcina i Łepsko w ziemi Podlaskiej, a później sługi oddanego Tejże Świętej Panience i niskiego pachółka całego ongi miejsca świętego uczyniony.“

Poniżej tego wstępu, ciągną się pamiątniki w następującym porządku:

Wy wszyscy, na błędy ludzkie wyrozumiali bracia chrześcijanie, którzy pismo moje niniejsze, gdy czytać będziecie, zwłaszcza też potomkowie rodu urodzonych Łepkowskich herbu Habdank, dowiedzcie się jako od wczesnej młodości za marnemi doczesnościami tego świata goniłem. Skończywszy jeno gramatykę w konwiktie bialskim, jedynym będąc synem pana cześnika siemiatyckiego Pawła Anastazego dwóch imion, wczesnie osierocony, objąłem po ojcu gospodarstwo i nie tylko za fortuną wszelakimi sposobami uganiając się, owszem chciałem jeszcze przysporzyć majątku bogatym ożenkiem, co się nie chwali. Albowiem wszystko na tym świecie jest znikome, a tylko szczerza modlitwa, zbożna praca oraz czynienie dobrze bliżnim, ubogim i maluczkim, są widziane i cennie w niebie.

Ożeniłem się przeto z panną Józefą Bukraba, zacnego rodu córką i za tą wzięwszy w wianie do czterech tysięcy złotych, jeszcze i Suchnówkę przykupiłem. A tak possessorem na trzech wioskach będąc, w małżeństwie szczęśliwości zażywając, tej jedynie łaski Boskiej nie doznałem, ażeby ojcem dziatwy zostać i z onej pociechy na stare lata doznawać.

Jedenastego roku po ślubach, straszna zaraza morowa Podlasie nawiedziła i małżonkę moją ukochaną Józefkę, z woli Stwórcy zgoła zabrała.

Tedy ja tu powyżej i poniżej imieniem i nazwiskiem podpisany, zostałem na świecie sam jak palec, wdowiec bezdzietny i nawet przy sobie, dla pociechy nikogo z bliższych ani dalszych krewnych nie mając. Teraz dopiero światłość mój grzeszny umysł nawiedziła. Pierwszą moją myślą było powiedzieć sobie:

— I cóż Witalisie znaczą twoje dostatki, jeżeli byłeś sobkiem i czyż takim tworem niepożytecznym masz pozostać do końca życia? Poprawże się póki jeszcze czas albowiem życie ludzkie jest krótkie i nie namyślaj się zbyt długo, ażebyś jeszcze mógł zdążyć.

Ja też nazbyt nie deliberowałem, ale postanowiłem sobie, że się udam na Jasną Górę, gdzie do umieszczenia na pokucie dożywotniej,

Panna Anielska protekcji mi swojej może raczej nie odmówić.

Z tem postanowieniem, ażeby zakończyć corychlej z oną kulą, która mnie do świata wiązała i myśli nieprzystojne, bo niechrześcijańskie krzesła, wyprzedałem moje wioski, za które mi sąsiad książę, wcale okazałym szczerem złotem zapłacił. Oną krwawicę w wór dość okazały spakowałem, krzyżem ległem na grobach tych, co mi byli ukochanymi, ziemię cmentarną łzami pożegnalnymi skropiłem i puściłem się w podróż.

A. D. 1766 mensis VII bris. Siła zdarzało mi się słyszeć o Jasnej Górze, jeno słaby mój umysł nie miał tej fantazji, ażeby to sobie w mózgu rozplanować i należycie wyobrazić.

Zajechałem otóż na wzgórze pod wały niezmiernie sztucznie a trwale wybudowane i srogimi bramami opatrzone. Na widok wieży strzelistej, aż pod obłoki wznoszącej się, upadłem na kolana i po modlitwie gorącej, poszedłem z pobożnymi kompanjami do kaplicy. Tu wysłuchałem Mszy Ś-tej przed cudownym obrazem i oczyszczony z grzechów na spowiedzi, zagadnąłem pewnego grzecznego żołnierza lub oficera, bo nie należąc do stanu wojskowego, na odznakach się poznawać nie umiem.

Ów poprowadził mnie do zakrystji, ja zaś

oznajmiłem jednemu z ojców wielebnych, iż mam tę śmiałość prosić o widzenie się z ks. przeorem, ile że przybywam z daleka i w sprawie dla mnie ważnej.

— Czego waćpan żądasz? — dopytywał się łaskawie biały staruszek o świątobliwem obliczu, właśnie przeor w swojej osobie.

Mnie zaś ogarnęło tak silne wzruszenie, że cisnąłem na posadzkę mój wór srodze ciężki, który wydał z siebie brzęk niepospolity, chwyciłem ojca przewielebnego za kolana i rzekłem:

— Nazywam się Witalis Łepkowski i racz ojcze wziąć tę moją chudobę, która jest mi tak potrzebna jak garbatemu suknia obcisła. Niechaj to będzie na ofiarę i ku przysporzeniu chwały Matki naszej Najświętszej. Lecz niech ojciec przewielebny nie pomyśli, że tę ofiarę oddaję, nic w zamian nie żądając dla siebie.

Tu zacząłem przemawiać płynnie, ile iż to wszystko układałem w głowie przez cały czas podróży.

— Jestem sobie skromnym pacholkiem — powiadam — szlachciurą podlaskim, który nie zna świata, bo oprócz Białej Radziwiłłowskiej, Siedlec i jeszcze co najwyżej Kodnia, nigdzie więcej nie bywał, nic nie widział i w gruncie rzeczy jest głupi jak but. Przyjmij że mnie ojcze na stały pobyt do klasztoru, a już nie po-

żałujecie, bo się będę okrutnie starał. Możecie mnie użyć do najprostszej roboty, a z góry i uroczyście przyrzekam, że się od żadnej nie wywinę i będę wiernym jak pies. Mizerny jest mój rozum, za to ogromna chęć służenia temu miejscu świętemu.

— Cóż waść umiesz? — zapytał przeor dziwnie na mnie patrząc. — Jesteś piśmienny?

— W łacinie jestem średnio mocny — odpowiadam już się nienazbyt czerwieniąc, a to ze strachu, żebym sam sobie opinji nie popsuł — potrafię listy pisać, rachować, wszelkie interesy załatwiać, mogę folwarków klasztornych doglądać, dobra ojców zakonnych pilnować...

— Toś nasz. Możesz tu zostać mosanie — odrzekł ojciec i uściśnął mnie za głowę, a ja nie posiadałem się z radości, że spełniły się moje intencje.

Zaniesiono moje tobołki do osobnej celi dla mnie wyznaczonej i od tej pory, jestem klasztoru wiernym uniżonym sługą.

A. D. 1768. W ciągu półtorarocznego mojego tu pobytu, nie zaszło nic tak bardzo ciekawego, ażeby się było warto o tem rozpisywać.

Jedno mnie tylko zastanowiło. Dawniej, gdy jeszcze siedział na roli, ludzie pobożni, powracający z kompanjami, o Jasnej Górze opowiadali jako o klasztorze. Ja zaś coraz silniej

się tu umacniając i (nie dla tego, broń Boże, ażeby się chwalić) znaczenia jakiego takiego nabierając, spostrzegam, iż oprócz klasztoru jest tu jeszcze twierdza czyli forteca.

Bardzo mnie to zaekscytowało, że o rzeczy tyle ważnej było do tej pory tak głucho. A iż wszystko, co dotyczy miejsca słynącego z obrazu świętego, powinno być ważnem dla świata wierzącego, tedy uprosiwszy ojca przeora, czasu wolnego od służby, klucza do akt fortecznych miłościwie dostawszy od brata sekretarza, rzeczy te do cna przewertowałem i one tu, o ile mi rozumu a oświecenia starczy, po porządku opowiem.

Do czasu panowania Zygmunta III, który zmarł w roku 1632, klasztor Częstochowski żadnych nie miał obwarowań i jak wszystkie podobne miejsca był dokoła otwarty. Dopiero z końcem królowania tegoż monarchy, rady wojskowe uchwały, ażeby klasztor ufortyfikować, brano się jednakże do dzieła powolnie i z zanaadto długim rozmysłem. Dopieroż syn króla poprzedniego, Władysław IV na przedstawienie panów rady krajowej, wydał nakaz przystąpienia do sprawy. Dokoła klasztoru wzniesiono tandem pierwsze poważniejsze fortyfikacje, w kształcie grubych murów, obwiedzionych fosą 5 łokci głęboką a 6 szeroką.

Taki właśnie był stan twierdzy, kiedy nastąpiło jej oblężenie przez generała Müllera w roku 1655, 37 dni i nocy trwające.

Z tego się widzi, że twierdza Jasnogórska już za czasów szwedzkich miała znaczenie miejsca wojennego.

Sejm w r. 1658 w uznaniu wielkich zasług przeora ks. Augustyna Kordeckiego, obrońcy Częstochowy, przeznacza starostwo Kłobuckie na fundusz fortecy, z tym warunkiem, iż zakonnicy mają obowiązek utrzymywania stałej załogi, ażeby ta na wypadek najścia nowych nieprzyjaciół, zawsze stała w gotowości.

Z funduszu onego odnowiono mury uszkodzone w czasie oblężenia szwedzkiego, przed nimi usypano wał jako przedmurze, pogłębiono fosy a dokoła zabudowań klasztornych wymurowano sześć baszt ośmiobocznych i w największym z tych bastjonów, wykopano wielce głęboką studnię.

Starostwo przynosiło wcale dostatnie dochody. Przytem rozmaite możne rodziny nie szczędziły ofiar na dalsze obwarowania. Roku pańskiego 1700, zakon wystawia dalsze obwarowania, mianowicie buduje dwie bramy obronne, dachy klasztorne pokrywa miedzią i zakłada w osobnym budynku zbrojownię, w której utrzymuje stałego puszkarza, ślusarza i innych

fabrykantów, którzy potrafią starą broń naprawiać a nawet nową przysposobić.

Czasu zamieszek w latach od 1700 do 1709, kiedy to August II walczył o tron polski za Stanisławem Leszczyńskim, Jasna Góra stanęła po stronie Augusta i po razy kilka odparła ataki szwedów. Na podziękowanie klasztorowi za jego pomoc, król na sejmie 1717 r. przeprowadził uchwałę, która nadaje Jasnej Górze starostwo Brzeźnickie i jednorazowo 30.000 złp., żądając w zamian, żeby klasztor szkody od szwedów poniesione naprawił i ażeby pomnożył załogę. A iż i ofiarność prywatna nie ustawała, bracia zakonni, znacznie wzmożeni w pieniądzu, żwawo prowadzą roboty. Po roku 1717 ustawili bramę przedfosową i cztery nowe baszty. Wezwali także specjalistę suo generis, pułkownika Dahlka, który nie tylko cały plan nowych fortyfikacji wyłożył, ale i całą twierdzę doprowadził do doskonałości, według najnowszych wymagań sztuki wojennej.

Tu macie rzetelnie spisana historję powstawania twierdzy Jasnogórskiej.

A teraz przedstawię wam opis położenia fortecy w czasie najazdów moskiewskich, abyście sami wiedzieli i następcom swoim sprawę takową prawdziwie opowiadać mogli.

Pośrodku warowni stał czworobok z kościołem i budowlami dwupiętrowymi, wszelkie potrzeby gospodarcze mieszczącemi, na murach zaś ukrytych za wałem, wznosiły się baszty. Z tych jedną nazywano basztą Potockich, drugą od strony Częstochówki — basztą Szaniawskiego, trzecią Morsztynów, czwartą od strony wsi klasztornej Krawodrzy, Lubomirskich i t. d. Oprócz bram obronnych, mocno urządzonych, była jeszcze furta na wypadek wycieczek załogi.

Chociaż jestem najwierniejszym sługą klasztoru i w mojej gorliwości, tak tuszę, nikt żadnej nie znajdzie plamy, iżem sobie oną miłość i pokorę po koniec życia ślubował, jednak na światło prawdy nie mogę być ślepy. Więc to powiem, że za nic mury i fosy, jeżeli twierdza nie jest należycie w orężę opatrzoną, jako się właśnie stało na Jasnej Górze.

Po wspomnianych już wojnach ze szwedami, nastąpiły czasy spokojne. Zakon wznoszeniem murów jeno pochłonięty, całkiem prawie zależał sprawę zaprowadzania się w broń i w amunicję, z czego później zrodziły się dość znaczne kwasy.

W zaraniu tworzenia się konfederacji barskiej, o czem będzie rzecz w stosownym czasie, przygotowanie bojowe twierdzy nie było dostateczne, nawet ośmielę się rzec, mocno liche.

Były tam coprawda armaty, jeno większa ich część zgoła bez lawet, a jeżeli te się znalazły, to stare, spróchniałe i nie do użytku. Jeszcze w największym ładzie spotkałeś wiwatówki, z których psuto prochy na powitanie lub dla żegnania panów dobrodziejów klasztoru.

Kule i bomby znajdowały się w niemałej obfitości, jeno cóż z tego, gdy prochów brakowało i o onych sprowadzenie nikt głowy nie turbował.

Żałoga też nie była do pozazdroszczenia. W czasie mego osiedlenia się w klasztorze, na dwa lata przed mającemi nastąpić utrapieniami wojny, miałeś tam niespełna dwustu żołnierzy, ale jakich? Inwalidzi, kalecy, starcy, z których większa część zapomniała jak się działo lub strzelbę nabija i z takowych strzela. Pędziła ona armja żywot powiem błogosławiony, próżniaczy, zważywszy że w czasie pokoju żadnej służby nie pełnili, oprócz wart odprawianych raczej dla parady.

Z rana oprzątnąwszy się cokolwiek, szli ci żołnierze pod mury i czatując na jałmużnę, społem z żebractwem pieśni dziadowskie wyśpiewywali. Owóż masz tu czem i kim wojować!

Wprawdzie około 1764-go roku król Stanisław August, może po dobrym obiedzie, przypomniał sobie, że tam jakaś twierdza jasnogór-

ska istnieje. Posłał do niej monitum żeby się bracia zakonnicy do porządku wojennego stosowali, a z funduszków, jakie posiadają, na uprowadzenie twierdzy pieniądze przeznaczali. Tyle nawet uczynił ze swej wysokiej łaski, że ojca prowincjała Wargawskiego, mojego żanego przyjaciela i protektora, komendantem twierdzy zamianował.

Jestem sobie jeno mizernym pacholciem i nie moją rzeczą jest mądrzyć się, a rozkazy królewskie nicować, i one sądzić. To wiem wszelako, że gdybym koronę na głowie nosił i państwem rządził, wymyśliłbym całkiem inny sposób doprowadzenia twierdzy do porządku i to w czasie, gdy poczęły się budzić pierwsze oznaki niepokoju, a rozruchy były prawie za pasem.

Nie mógł to najjaśniejszy pan posłać na Jasną Górę starszyzny wojskowej, która braciom powołanym jeno do pełnienia służby przy ołtarzu, ukazałaby jak się należy zbroić i jak rządzić wojskiem?

Co zaś do ks. Wargawskiego, z którego, jak słyszę, kpinkarze oficerzy od szlifowania bruków warszawskich, drwiny czynili i jego rządy komendanckie na zęby brali, to wszak wiadomo, że ów ojciec kształcił się w konwiktach i seminarjach duchownych a nie w akade-

mjach wojskowych. Miałże król zastanowienie, ażeby całą odpowiedzialność za twierdzę zwałać na barki kapłana? Gdzież byli i co robili jego świetni generałowie i pułkownicy, że żadnego z nich na naczelnika i wodza nie przysłał?

No, czemu jednak nasza twierdza miała być lepsza i do boju zdatniejsza, jeżeli inne królewskie, przecie, a nie klasztorne, jak Kamieniec, Nieśwież lub Zamość, tegoż czasu znajdowały się w zaniedbaniu i rujnacji?

Czy i tam zawiniła opieszałość i niesumienność zakonników?

Tegoż roku w kwietniu. Tak myślę, że nie masz siły na świecie, która byłaby zdolną odwrócić przeznaczenie człowieka. Przeżyłem prawie pół wieku, szabli używając jeno jako stroju, a o wrzawie wojennej wiedziałem tyle właśnie, wiele mi mój świętej pamięci dziad opowiadał, pominąwszy opisy wojen trojańskich i punickich, które musiał w szkole kuć na pamięć, kto nie chciał zabrać bliższej znajomości z kańczukiem ojców jezuitów.

I otóż mnie, który nigdy w życiu prochu nie powąchałem, los popycha na starość w odmet wrzawy wojennej.

Już od kilku tygodni do klasztoru zaczęły dochodzić posłuchy, jako zanosi się na znaczne

niespokojności, zagrażające nawałą nieprzyjacielską całemu krajowi. Owe wojska moskiewskie, przez carową tamtejszą na ziemię naszą nasyłane, podług posłuchów coraz szerzej płynących, mają nietylko naród tutejszy wyzuwać z życia i mienia; ale i owszem na fortecę naszą częstochowską czując chrapkę, do onej się dobierać i głodem dobywać będą.

Na takowe larum coraz głośniej czynione, za przyczyną wielce przezornego przeora, wzięliśmy się, czasu nie zwłócząc, do przewidowania twierdzy we wszelakie zapasy żywnościowe. Komuż nie jest wiadomem, że forteca choćby najsilniejsza, jeżeli ma pustki w śpichlerzach, długo oblężenia nie wytrzyma i mając większą załogę, z głodu i nędzy odda się wrogowi na pohańbienie?

Za najpilniejszą rzecz uważaliśmy tedy zgromadzić wszystko, co się tylko dało z folwarków klasztornych, jako to: zboże, okopowiznę i jarzyny wszelkie, też stada inwentarza. A coby się nie dało utrzymać żywcem, ile że na taką moc bydła nie było gdzie przechowywać paszy, zaczęł ks. prowincjał i komendant Wargawski, rzeźników z okolic wezwał i okrutne rzezie czynił, dla nasolenia i uwędzenia mięsa. A tak byliśmy o nasz los spokojni w tej my-

śli, że moskal w ciągu nawet roku może pod murami stać i nic nie wskóra.

Tegoż roku w maju. Któż z nas śmiertelnych mógł przewidzieć, że twierdza będzie skazana na prześladowanie nie tylko obcych, ale i swoich?

Sztafety z Warszawy przybyłe, przyniosły do naszego cichego zakątka wiadomości, które nas tu wszystkich napełniły zgrozą i przestachem wielkim. Za dawnych czasów, gdy wojna rozgorzała, dwa nieprzyjacielskie wojska, pole stosowne sobie upatrzyły i na onem starcia czyniły. Teraz zasię konfederaci barscy na liczne partje podzieleni, po kraju w pogoń za Moskwą nurkują i z oną społem bijąc się, tem samem szkody w zasiewach, po miastach, folwarkach i wioskach wyprawują okrutne. Z tego wychodzi, że czego moskal nie zdąży zniszczyć, w tem go konfederat zastąpi i tak idzie jedno za drugim, raz koło razu, aż do zupełnego naszej nieszczęśliwej Polski wyniszczenia. Wojna zaś miała wyjść z przyczyny takowej:

Za wpływem posła rosyjskiego, księcia Mikołaja Repnina, utworzyła się w Radomiu konfederacja generalna, która miała ułatwić sprawę równouprawnienia dysydentów, czyli osób wyznania protestanckiego, nowego ustroju Rze-

czypospolitej i zawarcia przymierza z Rosją. Przeciwno uchwałom, które byłyby z pożytkiem głównie dla państwa imperatorowej, wystąpili z opozycją: Kajetan Ignacy Sołtyk, biskup krakowski, Józef Załuski, biskup kijowski, Wacław Rzewuski, hetman polny i jego syn Seweryn, poseł podolski.

Z owej właśnie konfederacji radomskiej, wynikła inna, nazwana barską, a to, iż odbyła się w forteczce Bar, w województwie braćławskim. Zawiązała się za sprawą Adama Krasieńskiego, biskupa kamienieckiego, jego brata Michała, podkomorzego różańskiego, Józefa Pułaskiego, pisarza w. koronnego i starosty wareckiego z synami: Kazimierzem, Antonim i Franciszkiem. Konfederatom barskim chodziło głównie o trzy rzeczy: o usunięcie z tronu Stanisława Augusta, oswobodzenie Rzeczypospolitej od wpływu Rosji i wreszcie o zachowanie religji rzymsko-katolickiej wszystkich przywilejów, jako wyznaniu państwowemu.

Owóz z obu tych konfederacji wytworzyły się dwa wrogie sobie obozy i — ztąd bieda mościpaństwo!

Tegoż roku w kilka niedziel później. Co tu wiele opowiadać, źle jest, że gorzej chyba być nie może. Świat, zdawałoby się, jest wcale szeroki, a tu wszystkie partje, zarówno konfede-

rackie, jak moskiewskie gdzie nie trafią, ale pod Jasną Górą, to już napewno!

Przychodzą na ten przykład konfederaci i powiadają:

— Jesteście sługami Bożymi, tedy dajcie nam zboża, wołów i wszystkiego, co jest potrzebne do prowadzenia wojny. Was miłosierdzie ludzkie utrzymuje, nam zaś generalność żołdu nie płaci.

Ks. komendant, człowiek wymowny i polityczny, odpowiada na to:

— Jakże ma być? My sami, wszak widzicie, znajdujemy się w wielkich opałach. Uczyniono z nas wojowników, a wyrok ten przyjęliśmy w pokorze, chociaż jacy z nas żołnierze i kto się nas lęka? Cóż my ze sobą mamy uczynić w wypadku, gdyby się kozakom spodobało twierdzy zdobywać? Całem naszym uzbrojeniem jest właśnie owa garść jada, które, gdy nam zabierzecie, wtedy tylko z klasztoru wyjść i obraz cudowny wydać w ręce pogan.

Na to znowuż konfederaci:

— My to wiemy, ale głodem mrzeć też nie możemy. Jak nie dacie, ojcowie, dobrowolnie, to pamiętajcie, że nas tu jest siła: sami sobie weźmiemy.

Może myślicie, że jeno grożą? Gdzież zaś! Biorą wszystko, co się da i jeszcze grabią fol-

warki klasztorne. Zagarniają całe stada, całą krescencję, ba, snopki z dachów rwą na podściół dla koni i nocleg dla ludzi. Szczyściem można nazwać, jeżeli budynków z dymem nie puszczą, boć pomiędzy ludźmi tałałajstwa też nie braknie.

Powiadają, że to kara za upór braci zakonnych. Ano, stało się. Przeszedł oddział jeden, drugi, piąty i każdy sobie pofolgował na mieniu paulińskim, bo powiadają:

— Z kogo drzeć, jak nie z klechów? Taki jeno pomodli się i we wszystkie dostatki opływa.

Opływałbyś i ty, bracie, gdyby ci załoga codzień trzysta gęb rozdziawiła.

Ha, trudno, swoi zabrali, swoi skrzywdzili, tedy i stratę znieść łatwiej.

Naraz masz babo wesele! Pułki moskiewskie zaczęły tańcować pod Jasną Górą. Przyjedzie oberwus kałmucki, który u tych pogan nazywa się oficjerem. Takiemu kałmukowi ślepie wyrastają w tem miejscu, gdzie porządni ludzie mają uszy. Gdzieby zaś kozak uszy miał, tego nie zauważyłem, a tak myślę, że ich całkiem niema, a tylko niby kret, do wszystkiego węchem dochodzi.

Niedawno oto, zajeżdża taki oberwus i także się prowadzić do przeora.

— Z miłą ochotą, — rzeknie ks. komendant, który w swojej naturze ma śmiałość i zadzierzystość, — jeno niech pan kapitan wejdzie sam, a świta może sobie wypocząć w chłodku, pod wałami.

— Czemuż to? — dziwi się.

— A tak; w klasztorze jest trochę gęsi. Żeby więc która jakiego pana kozaka za kieszeń nie porwała i do niej nie przyłgnęła.

Na to kapitan, który jest nietylko paskudny, ale łatwowierny i ciemny, kręci głową:

— Widziałem w życiu dużo gęsi, — powiada, ślepie wybałuszając z dziwoty, — jeno, żeby za kieszeń ciągnęły, to się jeszcze nie zdarzało!

Innym znowuż razem, przed furtkę zajężdżają jegry konne też z kozakami, bowiem bez kozaków u moskali ani rusz.

— Otworzyć! — krzyczą.

A był w naszej załodze oficer artylerzysta Aleksander Wiewióra, który po rozmaitych wojskach cudzoziemskich służywał, człowiek po świecie wytarty i straszny wykpis.

— Po co otwierać? — uśmiecha się niby głupio i gębę rozdziawia. — Jesteśmy ludźmi, mamy języki w ustach, to i tak możemy sobie pogawędzić.

Moskal bierze to za dobrą monetę.



— Ba, głupiś kolega. Jesteśmy z oddziałów Apraksina, ten nas przysyła do was po armaty.

— Po armaty? — odpowie Wiewióra. — Czy my mamy jakie armaty?

— Jakże nie macie? A to na wałach co leży? Nie armaty? Trzeba trafunku, że studniarze w pobliżu pompę przerabiali, której rury drewniane już były zgniły. Wstawili nowe, stare zaś kłocę porzucili na miejscu.

Wiewióra, co prędzej skrzyknął żołnierzy. Ci chwytają zgniłe kłocę i przerzucają przez wały.

— Przyjrzyjcie się naszym armatom, — woła do oficera, — taka to jest broń księżowska; tem ci wojujemy.

Moskal chwycił się za głowę.

— Jej Bogu! — krzyczy ze zdumienia. — Prawda! Takich armat, jako żywo, nie oglądałem! Groźna mi twierdza, w której ze zgniłych pieńków nieprzyjaciela bombardują! Osobliwość, czego to polak nie wymyśli!

W tymże roku w lipcu. To, com wyżej opisał, to tylko dla przydania sobie wesołości i lepszego ducha, tudzież na dowód, jaka to jeszcze ciemnota gnieździła się wśród wojska rosyjskiego. Lecz nie wszystko, co się w owym czasie działo, do śmiechu przypada.

W tym właśnie miesiącu, chytry generał Apraksin przysłał do twierdzy już nie tak głupiego, a przeciwnie, chytrego, jak wąż oficera z 48 kozakami, ażeby dokazał zakonnikom, iż konfederatów wspomagali.

Karę obmyślili znaczną i po djabelsku wymyśloną.

— Jeżeli forteca oddziałom polskim żywność i woły rozdaje, — oznajmił wysłaniec moskiewski, — to znaczy, że sami jej macie za wiele. Co mają wziąć rebeljanci, niechże się to raczej wojsku najjaśniejszej imperatorowej dostanie.

Co rzekłszy, mignął na kozactwo, które dla ogłodzenia całej okolicy, wyniszczenia dóbr klasztornych i trzymania Jasnej Góry w oblężeniu, u stóp twierdzy zaczęło zwozić budulec, ażeby tu właśnie założyć wielkie magazyny prowiantowe.

Musiał dopiero nasz przeor śłać posłów do króla, który u ministra rezydenta rosyjskiego wyrobił, iż oddział kozacki z pod Częstochowy wydalono i do wykonania zamachu na rolników okolicznych nie dopuszczono.

Jaki zaś był brak rygoru u moskali i jakich się samowoli dopuszczali, widać choćby z zemsty, którą ów oficer kozacki na klasztor wymierzył.

Wściekły, że mu się wyrachowania nie udało, odstępując, chwytą bawiącego ' wówczas w Wiewiecku, w sprawach konwentu przeora jasnogórskiego i wypuszcza dopiero po wymuszeniu od tegoż 300 czerwonych złotych.

Roku 1769 w lutym. Widząc konfederaci, że rosjanie coraz chciwszem okiem spoglądają na twierdzę jasnogórską i w strachu, ażeby tego ważnego posterunku nie zajęli, nadsyłają oddział wielki, bo liczący do 3000 ludzi, pod dowództwem Jana Malczewskiego, marszałka wielkopolskiego.

Wzbraniłi się zakonnicy tak wielką siłę wpuścić do fortecy, bo po pierwsze czemby ją wyżywili, a powtóre, nikt przeorowi rozkazu nie wydawał, żeby raz ustanowiony porządek burzył i twierdzę reformował.

Rozkazała więc zwierzchność klasztorna podnieść mosty zwodzone i zamknąć bramy, co widząc marszałek, wpadł w gniew okrutny.

— Nie myślałem, — tak rzeknie, — iż będziemy traktowani na równi z nieprzyjacielem. Zważcie i zastanówcie się, ojcowie, że my tu zebrani, wszystko szlachta polska i dobrzy katolicy, w obronie praw narodu występujemy i krew przelewamy. Także to nas podejmujecie?

Na co, — o ile będę umiał powtórzyć, — odrzeknie ks. Jabłrzykowski, kaznodzieja, któ-

ry ojca przeora w cięższych opresjach wyręczał, albowiem wymową władał znamieniem i trefnie:

— Jesteś w błędzie, wielmożny panie marszałku i nasz dobrodzieju. Albowiem od czasu jak świat istnieje, nie było okazji, ażeby ludzie z kondycji duchownej, która nietylko, że jest Bogu miłą, ale jeszcze osobliwszej edukacji wymaga, rycerstwa polskiego od czerni moskiewskiej, nawet powiem wcale dzikiej i nieokrzeseanej odróżnić nie potrafili? Bacz jeno, wodzu waleczny na położenie twierdzy tutejszej, która nie w rękach żołnierza w twardym boju zaprawionego, lecz owszem, znajduje się w rękach zakonu, który z rąk króla utrzymywanie czerpie, przeciwko niemu występować, ani tem mniej burzyć się nie może.

— To właśnie źle mówisz, ojcze, — przerwał tak piękne wiązanie pan Malczewski — i znać, że będąc ludźmi murem od świata oddzielonymi, o polityce i zdarzeniach, jakie zaszły w naszym kraju, żadnej nie macie imaginations. Stworzyliśmy oną konfederację gwoili uśmierzenia ran, jakie Polsce zadają złe rządy królewskie tedy i wy, kapłani, winniście należeć do wspólnej akcji, nietylko przez ludzi świeckich, ale i przez biskupów uznanej i zapoczątej. Otwórzcie nam bramy twierdzy, abyśmy mogli walczyć przeciwko wspólnemu nieprzy-

jacielowi, którym jest Stanisław August i éma rosyjska przez jego niedopatrzienie, nawet powiem złą wolę, na nasze ziemie naprowadzana.

Na owo dictum ks. kaznodzieja odpowiedział:

— Jakże mamy się wspólnie z wami bić, jeżeli zakonnicy tylko jedną mają skórę, po której i konfederaci i rosjanie, jak po klepisku uderzają? Już niezadługo skóra nasza popęka i rozleci się bez śladu. I wy i tamci wciąż nas na swoją stronę przeciągają, tedy rychło patrzeć, jak się lina przerwie. Tego słuchaj i owe-mu służ! Zadowolisz jednego, natychmiast ten drugi zemstę wywiera. Alboż tak można wytrzymać?

Odstąpcie nas i do większych nieszczęść nie pociągajcie, bo też wszystkiego złego mamy wyżej uszu.

Widząc, że nic nie wskóra, Malczewski szarpnął węża i odprowadziwszy swoje siły na pola, otaczające Jasną Górę, rozłożył je po miasteczkach klasztornych, gdzie sobie biwakowali, barany klasztorne rżnąć i inne pożytki na swoje potrzeby obracając.

Ha, cóż robić, albo to klasztorowi pierwszyna, patrzeć z za murów na swoje krwawe szkody?

— Pobaraszkują, to sobie pójdą, — rzekł ks. Wargawski, który zwykle pocieszał nas we wszelkich ciężkich wypadkach. — Chyba tu wiekować nie będą.

A iż wieczór zapadał, tedy zmianę straży chcąc uczynić, pociągnął mnie za sobą i tak poszliśmy obadwaj do kurdygardy.

Tam powinien był czekać z oddziałem na noc wyszykowanym, pan Wybranowski, oficer wyznaczony do komenderowania strażą.

W kurdygardzie zaś żołnierska śpią jak za dobrych czasów, lub zamiast na nocną stójkę iść, w koszule jeno odziani, a boso, w elbacwelba i w kubki grają.

Nie mógł ojciec ścierpieć tak strasznego odstąpienia od porządku, a jeszcze wobec tak bliskiego grasowania konfederatów.

Jak nie chwyci feldfebra dyżurnego za łeb, jak nie pokręci za czuprynę.

— Idź mi, kądłu jeden, i sprowadź pana Wybranowskiego.

— Niema pana Wybranowskiego.

— Jakże to niema? — wrzaśnie ks. komendant, trzęsąc feldfebrem jak gruszką. — Wściekłeś się, capie? Przecież się pod ziemię nie zapadł, ani z twierdzy nie wyszedł.

— Owszem, wyszedł, — odrzeknie, — czemu by nie miał wyjść?

— Z twierdzy? Toż to są rzeczy niesłychane! Chyba wyleciał na skrzydłach, bo wszak nie masz innego sposobu.

Feldfeber znalazł się na goleniu bród i obsługując ojców, był nazwyczajony do poufałości, jak to zazwyczaj przez łaziebników jest praktykowane. Zapomniał o krzywdach, jakie mu ojciec swemi garściami zadał, lecz nie na wrodzonej rozmowności nie stracił.

— Z ojcem komendantem czasami nie można trafić do ładu, — powiada. — Pocóżby pan Wybranowski miał udawać ptaka, jeżeli mu konfederaci linkę drabinową przez mur przerzucili? Czy to kto słyszał, żeby ptactwo łaziło po drabinach?

Ojciec komendant zatrzęsł się z wielkiego gniewu, nieprzymierzając jak grusza polna lub inne drzewo w czasie silnej wichury.

— On to śmiał uczynić?

— Nie on jeden; kapitan Helman i pan Moczydłowski, dozorca prochowy, też przeleźli, ile że konfederaci mocno na nich kiwali, grzecznie do siebie zapraszając.

Ojciec komendant załamał ręce, że mu aż palce w stawach zachrzęściały i tak stał bez ruchu, nieprzymierzając jak drogowskaz.

— Biada twierdzy! — wykrzyknął żałośnie, — która ma podobne sługi! Oni to nas

zgiąć z kretezem, ci przedawczykowie, zdrajcy, niegodni odstępcy!

Strasznie tą przygodą zalterowany, już miał właśnie biedz z raportem do przeora, gdy u furty przeznaczonej do wycieczek, pomiędzy bramą a furcą potajemnie, a wielce misternie skonstruowanej, odezwało się gwałtowne łomotanie.

— Kogóż tam po nocy niesie? — krzyknął nasz komendant, który pamiętał na swoje powołanie oraz na świętość miejsca i choćby go największa złość ogarniała, nigdy wstrętnego imienia sił nieczystych nie wyzywał.

— Jesteśmy swoi! Otwierajcie, ojcie komendancie! — brzmiała odpowiedź, wypowiedziana głosem, po którym nawet małe dziecię poznałoby pana Wybranowskiego.

Na to ojciec:

— Niemasz tu żadnych swoich, jeno wyrzutki, które wierność fortecy złamały. Możecie sobie stać do sądnego dnia, a pewno nie otworzę! Szkoda, że nie mam po za wami trzema oficera, któryby wam kulą w łeb skomenderował.

Wtedy rzeknie Wybranowski:

— Widzę, że się na nas srodze, ojcie, sierdziecie, co byłoby wcale sprawiedliwem, gdybyśmy, rozkazy przełamawszy, do konfederatów na

jakoweś ochoty lub pijatyki leżli. Myśmy to zaś uczynili nie dla czego innego, jeno dla spenetrowania co zacz są ludzie, a już najgłówniej, ażeby folwarki klasztorne ubezpieczyć i braci od przypuszczalnych ekscesów umitygować.

— Bodajby kot płakał jak to prawda, — mruknął komendant. — Zresztą nie ujdzie wam to na sucho i niechajno jutra rana szczęśliwie doczekamy, będzie nad wami ciężka rozprawa. Nie otworzyłbym, jeno chcę oszczędzić twierdzy wstydu, gdyby was kto z nieżyczliwych naszemu honorowi ujrzał za wałami. Okrzykniętoby, że Jasna Góra całkiem przepada, skoro ją własni oficerzy odbiegają.

Posłał feldfebla po klucze, które co wieczora po sprawieniu zmiany straży, troskliwie do celi zanosił i ukrywał pod poduszką, lecz otwierając, na powracających spoglądał pogardliwie i zgoła ponuro.

Nazajutrz o świtaniu, gdy na prymarję dzwoniono, do wrót klasztornych zbliżył się marszałek Malczewski z prośbą, aby go z wojskiem do kościoła puszczono, gdyż pragnąłby mszy świętej wysłuchać.

Przeor po namyśle odrzekł, że nie godzi się odrzucać żądań pobożnych, jeno mając się na baczności, kazał połowę bocznej furty otworzyć i przepuścić nie więcej jak najwyżej pięt-

nastu zbrojnych ze swoim dowódcą. A jeżeli oddział pragnie nabożeństwa, to do niego pośle się zakonnika ze mszą polową. W tym właśnie momencie, przewrotność oficerów załogi jak oliwa na wierzch wypłynęła. Niecny Wybranowski wczoraj widać namówiwszy się z konfederatami, rozkazu przeora nie usłuchał i zamiast 15-tu, przy furcie stojąc dla dozoru, dał do twierdzy przystęp 60-ciu oficerom z ich marszałkiem. Ledwie się stał taki wypadek, aż ci kapitan Helman, wykomenderowany do pilnowania innej bramy, udał jako furę z drzewem puszcza i gdy tę bramę otworzył, wojsko konfederackie na tyłach fortecy ukryte, siłą werwało się co do jednego i podwórze wewnętrzne zapemniło.

Widzi starszyzna klasztorna że jest źle, cóż bowiem znaczyło dwustu własnej załogi wobec tysięcy wojska marszałkowskiego? Jednem słowem twierdza wpadła w ręce Malczewskiego, chociaż trzeba oddać sprawiedliwość, że konfederaci sprawowali się uczciwie, miejsce święte uszanowali i żadnych ekscesów nie dopuszczali się. Nabraliśmy otuchy w tem rozumieniu, że się to wszystko grzecznie skończy i że kawalerja jak przyszła tak też sobie odejdzie, tymczasem stało się inaczej.

Czując swoją przewagę, Malczewski wpro-

wadza własne porządki, a to na tej podstawie, jak mówi, że twierdza jasnogórska jest zbyt ważnym posterunkiem strategicznym ażeby ją było można nadal pozostawić pod zarządem nieudolnej załogi klasztornej.

Zlustrował tedy magazyny, obliczył zapasy dział i amunicji, a na czele sił zbrojnych postawił z własnego ramienia komendanta Konarskiego, konsyljarza wielkopolskiego.

— Zmiłujże się panie marszałku nad zakonnikami, i wejdź w nasze położenie. Po cóż mamy zdrową głowę kłaść pod ewangelję i mieszać się do waszej polityki? Bo niechże Boże broń przewaga królewska w tych waszych targach wypłyne, jak surowa oczekuje nas odpowiedzialność iż zamiast twierdzą trzymać zamkniętą na trzy spusty, daliśmy się podejść fortem i oddaliśmy ją w ręce nieprzyjaciół królewskich? Uczyńże waszmość pan jak uważasz dla siebie dogodnem, lecz nas oszczędź i obmyśl, ażeby to wyglądało iż paulini zachowali swoją neutralność i do konfederacji się nie mieszała.

Pokiwał głową pan marszałek i jak świadczą ci co bliżej przy nim stali, miał się nawet roześmiać.

Dla zadośćuczynienia owym prośbom, klucze od bram pozostawił w rękach ojca prowincji.

cjała z tym jednak warunkiem, że bez pozwolenia nowego komendanta, bram nie będzie wolno otwierać lub zamykać.

Byłby wprowadzał swoje porządki w dalszym ciągu, aż tu naraz, a było to trzeciego dnia po zajęciu przez niego twierdzy, pod Częstochową ukazała się piechota i kozacy moskiewscy pod dowództwem pułkownika Białolipskiego.

Jak to zoczyli konfederaci, czasu nie tracąc, sformowali się i dalejże na wroga, z którym potykali się naprzód pod Częstochową, a później za nimi daleko, bo aż podobno w Łęczyckie pogonili.

Okrutna była wzajemna strzelanina i obiedwie strony nawet sporo trupów pozostawiły na pobojuwisku.

Tyleśmy ów oddział oglądali, wyłączając Konarskiego, który zasłaniając się swoją nominacją, z kilkoma jeszcze oficerami dalej w fortęcy panował.

Tegoż roku w marcu. A był ów pułkownik moskiewski, nazwiskiem Białolipski, lisem szczwanym w najwyższym gradusie. Wspominało się iż po starciu z oddziałem Malczewskiego, odciągnął konfederatów od Częstochowy i jak słyszę zadał im nawet niemałe straty.

Poczem, gdy wojska marszałkowskie odstą-

piły, moskał na miejscu zawrócił i przybył znowu pod mury twierdzy. Musiał, tak myślę, mieć dobrych szpiegów, którzy mu donieśli o wszystkich ostatnich w fortecy wypadkach.

Rozłożył się ze swymi kozakami o pół stajania od wałów, na co załoga spoglądając, nowych się utrapień spodziewała, co się też sprawdziło.

Przysłał ów pułkownik do twierdzy swego oficera z rozkazem, aby przeor wydelegował dwóch zakonników, na tej zasadzie, iż na klasztorze ciążą winy i podejrzenia, które trzeba osądzić.

Pomyśleć tylko, w jak znacznem lekceważeniu miała Moskwa fortecę, jeżeli wódz nikczemnego oddziału, złożonego ledwo z kilkuset ciurów kosookich, ośmielił się prawie pod same działa podejść i jeszcze swoje prawa dyktować. Wysłał przeor oporu nie stawiając, (bo na cóżby się to zdało), dwóch z pomiędzy braci wytrawnej a do politycznego kunktatorstwa niezgorzej zaprawionej.

Przyjął ów łapserdak poselstwo jak nie można gorzej.

— W czyjej to twierdzy służycie — sroży się — i komu przyrzekliście posłuszeństwo? Skarb królewski płaci na utrzymanie fortecy, a wy z konfederatami trzymacie się za ręce?

Ha, buntownicy — wrzeszczy — ja was tu zaraz nauczę posłuszeństwa!

Na takie dictum, jeden z ojców, w którym już krew burzyć się zaczęła, dał taką odpowiedź:

— Jeżeli, jak sam pan pułkownik powiadasz, Jasna Góra pozostaje na służbie króla polskiego, to cóż nasze posłuszeństwo lub nieposłuszeństwo może obchodzić was, którzy służycie carowej, ta zaś Polską, chwała ci Panie, jeszcze nie rządzi?

— Właśnie, że rządzi! — krzyknął. — Wasz król jest na jej żołdzie, a wy wszyscy musicie podlegać woli najjaśniejszej monarchini i jej wojska. Jak mieliście śmiałość puszczać konfederatów do twierdzy?

— Sami się wpuścili, boć przyszli z ogromną siłą przeciwko garści naszych.

— Ha, buntownicy! Ha, przebiegli! Myślicie że uwierzę waszym wykrętom? Powiedzieć, czemuście oddali Malczewskiemu, dwie armaty, z których w polu do nas prażył i nie małą szkodę w ludziach mi uczynił?

— Alboż się nas o pozwolenie pytał? Chciał to je zabrać.

Pułkownik sapał ze złości.

— Słyszę, że ów rodzony wasz braciszek i przyjaciel Malczewski, osadził w twierdzy ze swego ramienia komendanta Konarskiego. Te-

go rebeljanta i wroga rosyjskiego musicie mi natychmiast wydać, ażebym go w kajdany zakutego odesłał do mego generała, który, tuszę, rychły z nim uczyni porządek.

— Tego się waćpan po nas nie spodziewaj — zaoponował jeden z braci. — Na mocy przywilejów naszych królów, twierdzy jasno-górskiej służy prawo azylum. To znaczy, że osoba, która się schroniła w jej murach, jest nietykalną, chyba że nieprzyjaciel twierdzę zdobędzie, wtedy w niej rządzi i rozkazy wydaje.

— Hm — pieniał się kozak — to są skutki oddawania twierdzy w ręce zakonników. Zresztą co ja mam z wami gadać? Mnich nie zna się na sztuce prowadzenia rzeczy żołnierskich. Chcę rozmówić się z człowiekiem wojskowym. Kogóż tam macie ojcowie ze starszyny oficerskiej?

Dowiedziawszy się, że Wybranowski znajduje się w twierdzy, kazał go sobie przysłać, zbużował za nieporządki i domagał się ażeby nie spuszczał z oka Konarskiego, który jego zdaniem jest człowiekiem niebezpiecznym i zdecydowanym buntownikiem.

Pojmował Wybranowski, że sprzeczkami nic mądrego nie zbuduje, tedy zgodził się na wszystko i tak się ów nowy najazd jakoś pomyślnie zakończył.

Idem w kwietniu. Kozactwo w ciągu kilku jeszcze dni trapiło okolicę swemi niecnemi rabunkami, nareszcie złe je kędyś poniosło.

Natenczas przeor zwołał radę, na której przedstawił całą nędzę położenia klasztoru, który we dwa ognie wzięty, w końcu rady sobie nie da i czy tak lub owak, runąć chyba musi.

Uradzono, że innego sposobu nie masz, jeno trzeba sztafetę do króla do Warszawy śłać i wszystkie opresje mu przedstawić z prośbą błagalną o opiekę i zmiłowanie.

„Fatum ślepe a zgoła niesprawiedliwe — dyktował ojciec archiwista Wojek, niepospolity do takich rzeczy mistrz a przytem statysta — z miejsca świętego uczyniło odmęty, o które rozszalałe fale tłuką i pewno że je zatopią. Chyba o ile wasza królewska mość ulitujesz się nad losem sług Bożych, którzy mieczem władać nie umiejac, do czego nie są powołani, a i nie chcąc krwi przelewu, możności spokojnego składania czci Matce swojej a Opiekunce, jako kania deszczu wyczekują.

Ocal że nas królu wspaniały od hord moskiewskich, a jeszcze bardziej od nieznosnych band konfederackich. Bowiem moskal chociaż wiary niezupełnie chrześcijańskiej, przybytek tutejszy ma przynajmniej w jakim takim po-

szanowaniu i o zdobywanie twierdzy nie kusi się, na opresjach i rabunkach poprzestając.

Konfederaci zaś dla nas są jeszcze gorsi, ponieważ do twierdzy włączają, w onej gospodarują, i nie tylko żywność ale i armaty z niej wynoszą, jak to właśnie uczynił marszałek“.... etc.

Petycję pisano, kreślono, przepisywano i wygładzano; jeden z ojców ujął, inny zasię przydał i tak się całość skleila foremna.

Oprócz petycji do tronu, zakon rozpisał jeszcze listy do rozmaitych panów, którzy mieli wpływy i posłuch u króla. Przedstawiono w tych pismach zupełną niewinność zakonu, który nie przestaje zachowywać neutralności, spełnia gorliwie rozkazy królewskie, do polityki się nie miesza i z konfederacją barską żadnej zupełnie niema łączności. A jeżeli konfederaci gromadzą się w twierdzy, moskali drażnią i z jej wałów walki toczą, to konwent za to odpowiadać nie może, jest bowiem zmuszony ulegać ich przemocy. Zakon błaga panów nadewszystko, iżby jego sytuację najjaśniejszemu panu przedstawili i ażeby tenże z łask swoich klasztoru nie wypuszczał.

— Wszystko to dobrze — rzekł przeor po podpisaniu listów i przyłożeniu pieczęci. — Ekspedycję powiezie który z braci znaczniejszej,

na wielkim świecie obracać się umiejący. Zważcie, że do króla będzie przemawiał, powinien więc być rezolutnym i wymownym.

Wybór padł na ojca sekretarza, który tyle zaszczytną godność poselską przyjął, nawet z ukontentowaniem, jako iż w Warszawie miał brata kanonika, z którym po długiem niewidzeniu, zobaczyć się pragnął.

I gdy już zapadło ono postanowienie, przeor wezwał mnie, pokornego sługę, zwrócił się do radnych i rzekł :

— Myślałem kogoby tu ojcu sekretarzowi przydać na towarzysza podróży, która chociaż nie tak zbytnio daleka, przecież w dzisiejszych czasach niespokojnych, zwłaszcza w sprawie tyle dla nas ważnej, osobliwej obrotności i ostrożności wymaga. I tak suponuję, że już chyba pan Witalis Łepkowski, wypróbowany przyjaciel nasz, wszystkich kandydatów talentami swojemi zaćmił, albowiem i wyrozumienie ma i preżencję, też powagę swemu wiekowi właściwą.

Podziękowałem świątobliwemu ojcu za tak przychylne o mnie mniemanie i niewymownie szczęśliwy, natychmiast zakrzętałem się około przygotowań do wyjazdu.

Wzięliśmy kolasę kwestarską zupełnie jeszcze nową a ze stajni najlepszą parę koni.

Ojciec sekretarz, na moje usilne prośby, że jestem zwłaszcza człowiekiem ostrożnym, prze-zornym i żadnego niemasz we mnie roztargnienia a już szczególnie w podróży, powierzył mi wszystkie listy, które najuważniej wraziłem za pazuchę, do kieszeni, którą mi ad hoc przysposobił Matys, krawiec klasztorny.

Pomimo że to był dopiero początek wiosny, ostre wiatry drogę obsuszyły, słońce już cokolwiek dogrzewać zaczynało, żadnych partji konfederackich ani wojska moskiewskiego nie spotykaliśmy na lekarstwo.

Jedziemy sobie z dobrą otuchą to pacierze odmawiając, to gwarząc lub drzemiać. Na popasach ludzie personatów z samej Jasnej Góry widząc, prerogatywy nam czynią, godność świadczą, uczynni byli i cale uprzejmi.

We mnie, prawdy nie ukryję, serce jakby rośło, boć to przecie w każdym wypadku, człowieka podnosi, że godność posła piastuje, ważne interesy sprawia, nie jest jakimś tam kołkiem w płocie ale personatem, który z samym królem ma rozmawiać i jemu przedstawienia czynić.

Oj gdybym ja był wiedział, oj, gdybym się był spodziewał, oj żebym ja dar jasnowidzenia miał!

Na kilkanaście stajań przed Łowiczem, coś się tam u tylnego koła obluzowało, a tuż ci jakby w bajce, przy drodze stoi kuźnia i czarnym dymem z komina strzela.

— To w sam raz! — rzeknie nasz woźnica, Tomasz, młody wolontariusz załogi częstochowskiej. — Właśnie z obręczy kilka gwoździ wypadło i trzeba ją było narychtować.

Wysiedliśmy tem chętniej, iż po drodze kamienistej, naszczykaliśmy się zębami i nie zawadziło tchu w piersi nieco chwycić. Tomasz kolasę pod szopę podprowadził, a my sobie stoimy patrząc jak kowal wykończy mocowanie podkowy koniowi, którego trzyma za uzdę człowiek młody, kto go wie, szlachcic czy chłop, bo w kitlu wełnianym i prostej czapce.

— Pochwalony!

— Na wieki! — odpowiada młokos.

Zerknął na biały habit zakonnika, mnie zmierzył leniwie.

— Jegomościowie z Jasnej Góry jadą? — zapytuje.

— A zkądżeby? Czy wasze nie widzisz, że noszę suknię paulińską? — ojciec na to.

— Widzieć to widzę, a jeżeli zapytuję, to niby według politycznego napoczęcia rozmowy. Okrutnie jestem ciekaw co też słychać w Częstochowie. Kręci się teraz po drogach moc lu-

du i różności opowiadają. Podobno w tamtych stronach ma być porządnie gorąco?

Ojciec sekretarz ciekawość młodzika w żart puścił, bo jadąc zwłaszcza w tak ważnem poselstwie, niechciał się zdradzać i nieznanym zdawać relacje, z których mógł wyniknąć kłopot jakowyś. Czasy były niepewne i zgoła dla ludzi gadatliwych niebezpieczne.

— Co waszeć gadasz! — odrzekł jowialnie. — W naszych stronach, chociaż niby są bardziej na południe położone, wiosna tak sama jak i tu, jest dopiero za pasem a przymrozki nocach jeszcze niezgorzej doskwierają.

— Ja też słyszałem — odparł i skrzywił twarz w dziwnym sposobie — jakobyście ojcowie zębami dzwonili a po skórze ciarki obganiiali, jeno dobrze nie wiem czy to przypadłość nawiedza ojców z chłodu lub ze strachu.

Tak niepolityczną zaczepkę wypowiedział, zaczął się śmiać przeraźliwie, w tem mniemaniu iż bardzo udatny koncept wymyślił. My nie na to, albowiem głupiemu najłatwiej ustąpić, a powtóre czyż to wypada osobom poważnym, do tego posłom, bawić się w poufałości z pierwszym lepszym pacholkiem, spotkanym na publicznej drodze.

A że kowal uporał się nareszcie z naprawą koła, na owego śmiałka i drwinkarza żadnej nie

zwracając uwagi, żwawo ruszyliśmy ku Łowiczowi, gdzie mieliśmy stanąć na nocleg.

Gdyśmy już ujechali spory kęs drogi, słyszemy za sobą tupot kopyt końskich. To ów właśnie wyrostek dogonił nas i, pędząc tęgim kłusem, ogarnął obu ukośnem wejrzeniem, i niebawem znikł na zakręcie.

Nie wiem czy minęło pół godziny, gdy z przeciwnej strony, od Łowicza, zoczyliśmy kilku konnych, którzy na nasz widok zatrzymali się i uszykowali po stronach drogi.

— Cóżby ich tam tak nagle zatrzymało? — rzekł ojciec, który w naszej podróży pilno na wszystko zważał.

— Szukają czego nie zgubili — mruknął nasz woźnica, a że też droga zaczęła się nieco twardsza, zebrał lejce w garść i machnął biczem.

Naraz, gdyśmy ich wymijali, owi właśnie jeźdźcy zwrócili konie, przyskoczyli do bryki a jeden z nich chwycił naszego naręcznego za uzdę.

— Stać! — krzyknął inny, w którym natychmiast poznałem drwinkarza z kuźni. — Ani kroku dalej! Ci to są, o których raportowałem panu porucznikowi — zwrócił się do starszego mężczyzny, któremu z pod długiego płaszcza

wyzierały błyszczące u butów ostrogi oraz koniec pochwy u szabli.

— Mamy z ichmościami do pogadania — odezwał się głosem chropawym. — Sprawa nie zabierze wiele czasu a więc prosimy z nami.

Ojciec sekretarz i ja z nim, próbowaliśmy paktów, na co nam nie odpowiadali i tak w milczeniu, otoczeni jakby świtą, wkrótce wjechaliśmy boczną drogą, która ciągnęła się środkiem gęstego zagajnika.

Przy brzegu niewielkiej wioski, stał dworek z gankiem na filarkach. Jeźdźcy zsiedli z koni i torując nam drogę, przez ciasną sień, poprowadzili do izby, napełnionej gwarem ludzi zbrojnych, którzy wyglądali na szlachtę.

— Prowadzimy gości z Częstochowy! — zawołał, wchodząc, ów, którego wyrostek tytułował porucznikiem.

— Prosimy, prosimy! — zabrzmiała odpowiedź.

Szlachta, ujrzawszy białą suknię paulina, obnażyła głowy i podsunęła mu stółek.

Ojciec na pozór nie tracił dobrej miny, co nie przeszkadzało, że siadając, trącił mnie nieznacznie łokciem w to miejsce piersi, gdzie miałem ukryty listy.

— Czego waszmość panowie żądacie od spokojnych podróżnych — podjął — i czemuż

zatrzymujecie nas, na publicznej drodze? Czyż to już i podróżować nie wolno?

— Owszem ojciec wielobny, — oświadczył porucznik — podróżować nikt nie zabrania i każdy ma do tego prawo. Zważcie jednak, że to czas wojenny, więc prawa surowe i ostrożności nigdy za wiele.

— Nie jesteśmy żołnierzami i z nikim nie wojujemy.

— Kto wie, ojczulku, kto wie? Wojować można nie tylko orężem, chociaż z drugiej strony wiadomo, że ojcowie paulini orężem też nie gardzą, a szczególnie są łakomi na skórę konfederatów. Powtóre, walkę można prowadzić rozmaitemi sposobami, tak na przykład przewożeniem niepotrzebnych ekspedycji.

— Nie mam żadnych ekspedycji! — zachnął się o. sekretarz.

— Tem nam przyjemniej — mówił porucznik, a mnie w tymże czasie mrowie przebiegło po skórze. — Wierzymy słowu kapłańskiemu i co do tego żadnych nie mamy wątpliwości. Listy ma zatem towarzysząca ojcu osoba.

Spojrzał na mnie przenikliwie i z ręką na mojem ramieniu zawołał już ostrzej:

— Pokaż no acan korespondencję, jeżeli niechcesz, żebyśmy cię w tem wyręczyli!

Mój towarzysz zerwał się, zasłonił mnie swoją osobą i przemówił głosem, w którym oprócz oburzenia, brzmiała jeszcze obawa.

— A pfe waszmoście, jak można, czyż to przystoi, czy to się godzi? Szlachcica rewidować jak rabusia na jarmarku? Przebóg, jakże fatalnych dożyliśmy czasów!

Lecz narzekania powyższe były grochem rzucanym na ścianę.

— Daj no jegomość listy — zwrócił się do mnie porucznik, ja zaś widząc że wymawianiem się nie tylko nie wskóram, ale owszem, sprawę jeszcze mogę pogorszyć, wydobyłem z kieszeni.

Konfederaci rzucili się na pisma jak głodni wilcy na barana. Odczytywali je przerywając sobie krzykami, wybuchami śmiechu lub zgół wydrwinami z tych, którzy wyrażali na piśmie swoją tak wyraźną niechęć przeciwko barszczyźnie i jej działaniach.

O tem, jak sobie po tem wszystkiem ze mną postąpili, powinienem raczej przemilczeć, raz, że przykro jest wspominać rzeczy wstręt czyniące i dziś mi jeszcze ból po całym ciele sprawiające, a powtóre, iż niesłychana to rzecz, ażeby nad szlachcicem urodzonym, taż, szlachta, która za swobodę niby walczy, przemocy uży-

wała i onego ośmieliła się ćwiczyć a jeszcze na ławie nie zaślanej kilimkiem.

Lecz ja, owego znęcania się nad moją osobą nie taję, zważywszy iż w sumieniu mojem jestem czysty jak nowonarodzone dziecię i jeżeli przecierpiałem to niewinnie, bo za to jedynie że mój obowiązek i akt posłuszeństwa względem mojej zwierzchności spełniałem.

Siepaczami, którzy na moje zdrowie zamach uczynili i onego kęs mi naderwali, była oczywiście banda konfederacka, jeno z jakiej partji nie powiem, bo mi tego nie powiadali, a i nikogo nie można się było dopytać.

Listy, a w szczególności te, w których przeor wystawiał niegodziwości przez oddziały konfederackie na klasztorze praktykowane, na mojej żywej skórze rozkładali i one batogami na strzepy przecinali. Poczem hjeny zjadliwe, z przewrotną grzecznością, pozwoliły nam dorwać się do bryki i z gołosłownemi relacjami do Warszawy odjechać.

Ojciec sekretarz za przyjazdem do stolicy, z wielką gorliwością i umiejętnością, nie bacząc na utratę listów, spełnił swoje poselstwo. Odwiedził kanclerza Młodziejowskiego, ks. podkomorzego, przewodniczącego w komisji wojkowej, nareszcie i króla, którym przedstawił poło-

zenie zakonników jak również, że Malczewski zabrał armaty siłą, a przeto niemasz w tem żadnej winy klasztoru. Tem niemniej, dostało się zakonnikom ostre monitum z tą przestrogą, ażeby lepiej nad fortecą czuwali i wroga do niej nie dopuszczali.

Ja zaś w poselstwie żadnego udziału nie brałem i nie mogę się pochwalić abym do niego rękę przykładał, albowiem jak Łazarz leżąc w gospodzie, jękiem i stękaniem istność moją ogłaszając, w rękach chirurga i balwierza cały ten czas przeboleałem. Nareszcie dnia jedenaścigo, gdy znaki mi się na ciele po rozprawie z konfederatami nieco zabliźniły, mogłem z moim towarzyszem acz z ledwością do kolasy wsiąść i do Częstochowy powracać.

Było to jednym słowem smutne poselstwo, którego rezultaty nasz przeor przyjął rąk załamaniem i głowy na piersi zwieszeniem.

— Ha, — rzekł — już widać taka nasza nieszczęśliwa dola i wyroki przeznaczenia surowe. Król najmiłościwszy i nasz pan, zamiast sługi swoje pokorne łaską pokrzepić, owszem, karci i niełaską darzy. Król niezadowolony, moskiewszczyzna wciąż grozi oblężeniami i rabunków dobra klasztornego dopuszcza się niegodziwie, konfederaci też napastują i rządami swemi uciskają. Omne trinum perfectum, źle

z nami bracia, bo najgorsza to rzecz, jeżeli nie wiadomo czego się trzymać i kogo słuchać.

Tu wydał ciężkie westchnienie, a my społem zebrani, zawtórowaliśmy i wszystkich ogarnęła ciężka żałość, bo też sytuacja wypadła, jak już gorsza być nie może.

Roku 1770-go w lipcu. Długo nie pisałem, albowiem brak czasu wciąż stawał na przeszkodzie. Na naszych włościach klasztornych straszny nastąpił nieład i upadek gospodarstwa tak wielki, iż słowem tego wyrazić, a tembardziej piórem opisać niema żadnego podobieństwa. Z rozkazu przeora, który wiedząc, że sam niegdyś siedziałem na roli, a przeto znam się na tych rzeczach, zająłem się objazdami folwarków, ażeby ratować co można i do ostatecznej ruiny nie dopuścić.

Boże mój, Boże, jakież horrenda znalazłem, klęski i szkody! Budynki przeważnie popalone lub na opał rozebrane, inwentarze rożkradzione, obory puste, role nieuprawione i nie nawożone, służba przez kozactwo zdemoralizowana jużci zaczęła gorzałkę pić, która natenczas wchodziła w rozpowszechnienie.

O rządcach nie będę wspominał, bo wiadomo jakie to mogą być rządy bez rachunku i dozoru. Rozpanoszyło się to i kraść nauczyło. Nie jeden korzystając z ciągłego rożgardjaszu,

sam szkody czyniąc, na nieprzyjaciela zmawiał, a inny jeszcze się z nim za ręce trzymał.

Doszło do takich ostateczności, iż folwarki niektóre całkiem zaprzestały dostarczać żywność do twierdzy, z czego wypływały bunty załogi i nieposłuszeństwa.

I cóż ja, sługa niegodny mogłem zdziałać, jaką złemu dać radę? Zabiegałem wedle możliwości, bizuny nawet w ruch puściłem, zakonników ze spowiedzią i naukami między nasze parobstwo sprowadzałem, najwinniejszych do ciemnicy fortecznej sadzałem. A jeżeli nastąpiło jakoweś małe polepszenie, niech mi to będzie policzone na sądzie ostatecznym, bo doprawdy, była to praca okrutnie ciężka, chociaż tak mało skuteczna.

W twierdzy przez ciąg kilku miesięcy trochę przycichło. Oddziały konfederackie po dalszych okolicach buszowały i tam do siebie ścigały pułki moskiewskie, co wypadało Jasnej Górze na korzyść iż obiedwie strony mniej na nas miały oko, mając je w inną stronę odwrócone.

Jeno Opatrzność znowu od nas swoje względy odwróciła.

Ów Konarski, przez Malczewskiego komendantem zamianowany, był to, jak się okazało, mydłek, przechera i nic dobrego. Patentu od

generalności nie mając, i co najważniejsze nie uznawany przez konwikt, siedział do czasu jak trusia, wody nie mącił i rządy naszej starszyzny wojskowej podtrzymywał.

Aż ci tu naraz, przed bramę forteczną za-jeżdża Trzebiński, pułkownik konfederacki z poczem w sto koni.

— Co począć?—dopytuje Wybranowski.— Otworzyć bramę, czy nie otworzyć?

Konarski, jako lisem podszyty, pędzi w dyrdy do przeora, do ojca Wargawskiego, oficjów gromadzi i doradza:

— A cóżeśmy to dzieci, żebyśmy się mieli lękać oddziału tyle nikczemnego? Zdrożeni są mocno, zbiedzeni, Trzebiński wiem, że jest człowiekiem zacnym i przykładnym katolikiem, czemuśmy nie mieli im dać dachu nad głowę przez dzień lub dwa?

Swojami gorącemi perorami przekonał go tak, że ojciec Wargawski sam co sił bieży z kluczem i bramę każe otwierać. Jeszcze woła na powitanie, nie bacząc iż sługom partji królewskiej nie zbyt to przystoi:

— Witajcie mili żołnierzykowie!

Oj, mili, bodajże ich było sparło, jeno kto mógł to przewidzieć prócz szelmy Konarskiego?

Zajechawszy na majdan, konie rozsiodłali, do stajen poprowadzili i, patrząc, jużci łby podnieśli.

— Jesteśmy we własnym domu, — oznajmiamy — my tu rozkazy wydawać będziemy. Komuby się nie podobało, może sobie iść precz! Do księży — powiadają — należy klasztor i w posługach duchownych przeszkód im żadnych nie czynimy, jeno od twierdzy wara!

Co słysząc, zakonnicy gorące stawiają *veto*. Tłumaczą i przekładają, przedstawiają stare pergaminy dawnych królów, powołują się na potwierdzenia, na konsensy, paragrafy, wreszcie tłumaczą, że klasztor podpada pod władzę królewską.

Powołanie się przeora, na powagę króla padło iskrą na prochy gniewu konfederatów. Zaczęli się w pasji miotać jak opętani, wrzeszczeć, najjaśniejszemu panu i klasztorowi wygrażać. Trzebiński w onem znęcaniu się nad nami co prawda udziału nie brał, natomiast jego oficjery, zwoławszy swoich podkomendnych, rzucili się na żołnierzy załogi w pasji iż ci opowiadali się za posłuszeństwem dla przeora. Jednych więc ćwiczyli, innych w dyby zakuwali, słowem uczynili wojnę, w której przemagały nieprzyстойne wrzaski i klątwy ujmę przynoszące powadze miejsca.

Konarski, którego obowiązkiem, jako komendanta, było stanąć po stronie uciskanych, nic przeciwnego napastnikom nie czynił, usunął się w kąt i spokojnie sobie spoglądał, zupełnie jakby tu nie chodziło o bezpieczeństwo miejsca mu powierzonego.

Więc o. Wargawski, kapłan zapalny i krewki, miarę cierpliwości straciwszy, wybuchnął straszną irytacją.

— Hola! — krzyknął mocnym głosem. — Taka to jest wasza podzięką za naszą gościnność, taka wdzięczność żeśmy was przemokłych i zziębniętych, jak matka do swojej piersi, przygarnęli? Hej, żołnierze — huknął na swoich, bo tylko część ich była rozbrojoną — halabardy w garść i siec, strzelby nabijać! Fora z nimi za wały, gdzie im ogniem działowym za napaść podziękujemy! Mości komendancie Wybranowski, chciej spełnić swoją powinność! Precz z intruzami, precz!

Łatwiej jednak było rozkazy ciskać w powietrze, aniżeli wymagać, ażeby je nasi inwalidzi w mig spełnili.

Konarski, sługa konfederacki, urządza gonitwy za szczątkami naszej załogi, i ma śmiałość bluźnierca potraćać młodzież zakonną, która śpieszy ojcu Wargawskiemu na pomoc. Sy-

pią się płazy, od których ten i ów braciszek wcale pokaźnego obrywa guza.

Ale to jeszcze nie wszystko i nie tu jest kres niegodziwości zbójów konfederackich, boć wszelki człowiek sprawiedliwy musi przyznać, że dla klasztoru zbójami byli.

Widząc, że słabą mają pomoc od załogi, bracia chwytają za broń i z takową, w obronie własnego zdrowia rzucają się naprzód. Konfederaci otaczają zakonników, ustawiają pod murem, odwodzą kurki u strzelb i biorą się nie na żarty do rozstrzelania niewinnych.

Teraz dopiero Trzebiński, widząc że się z tego łatwo może wywiązać zbrodnia, wpada pomiędzy swoich i rozpędza, a zakonnikom życie tym sposobem darowuje.

To jednakże nie osłabia wściekłości oficerów. Skoro tylko ich wódz, nie zupełnie dobry ze zdrowiem, znowu się oddalił do celi, gdzie nawet dzień i noc przebolał, już ci ludzie nielitościwi i zgoła dzikie mając instynkty, nowe uciski obmyślają.

Osadzili ojców w wieży, innym zabraniają wyjrzeć na wały, innych jeszcze chcą zamorzyć pragnieniem i odcinają dopływ wody studziennej do cel. Najgorszym zaś ze wszystkich jest Konarski. Trzebiński widzi co się święci, a że unikał z nim wszelkich scysji, jako z praw-

nym komendantem, tedy jak może mityguje go, łagodzi, głaszcze jak złego brysia, chociaż wszystko to nie wiele pomaga.

Wezwał do siebie naszego Wybranowskiego z oficerami klasztornymi i tupie nogami, warczy, słowem natrząsa się jak nie można okrutniej.

— Śmierdzicie tu w mojej twierdzy — w mojem państwie, i muszę raz nareszcie wiedzieć kogo uważacie za swego pana: czy konfederację barską, którą ja reprezentuję, lub króla, który jest nieprzyjacielem całego kraju i z którym walczymy?

Wybranowski, stary żołnierz lafowy, który już po rozmaitych piecach chleb jadał i nie raz śmierci w oczy zaglądał, nie uląkł się groźnego wzroku komendanta.

— Dziwno mi, — odrzekł — iż waszmość pan, sam będąc wojskowym, a jeszcze dowódcą, z podobnemi zapytaniami występujesz. Ja i moi oficerowie jesteśmy najemnymi, zatem służymy tym, którzy nam żołd płacą. Dopóki kontrakta trwają w mocy, im to należy się nasze posłuszeństwo, a przeto nie żądam waść byśmy w tak ciężkich klasztoru opresjach, mieli panów zmieniać i na obce służby iść.

Konarski zatrzęsł się z gniewu.

— A zatem nie uznajecie powagi najjaśniejszej konfederacji?

— Czy uznajemy lub nie, to nie należy do rzeczy. Lecz myśmy z nią kontraktów nie zawierali.

— Jeżeliście tacy wierni naszym wrogom — krzyknął znów Konarski — to precz mi z twierdzy i żeby moje oczy was nie oglądały. A jak mi się natychmiast nie wyniesiecie, to każę was rozsiekać i wyrzucić przez wały jak padlinę!

Wybranowski dość już miał tych słów obelżywych.

— Słuchaj no aść, komendancie samorodny — rzekł groźnie — wodzu wyrosły tam, gdzie cię nie posiano — i pod nos podsunął mu rękojęść swojej szpady. — Niech że cię nie oślepią łatwe zwycięztwo nad moją załogą. Bo czyż to wielka sztuka walczyć ze słabszymi? Znalazłbym może sposób przyprowadzenia cię do porządku, jeno co mi tam! Puszczę ci płazem twoje rozwydrzenie i ulegam przeważającej sile twoich ludzi. Odchodzę stąd, bo służba pod takim komendantem dla starego żołnierza jest obrażającą!

To rzekłszy, odwrócił się z pogardą i poszedł do przeora po abszyt.

Buta Konarskiego i jego pycha wzrosły jeszcze bardziej w czasie, gdy do twierdzy za-

częły ściągać inne jeszcze pomniejszych oddziały konfederackie, jako to Szulmirskiego, marszałka konfederacji łączyckiej, Dobruchowskiego etc.

Zaroilo się w obrębie dość szczupłych murów Jasnej Góry, dawna cisza klasztoru ustąpiła miejsca gwarom prawdziwego obozu, dotychczasowa załoga zeszła na szary koniec a żołnierze klasztorni, usunięci od straży przy bramach i na wałach, wałęsali się beczynnie lub spełniali czynności sług obozowych pod rozkazami nowoprzybyłych.

Konarskiemu nie było jednak przeznaczone dłuższe w twierdzy panowanie, bowiem komendantem na jego miejsce, został Wielogłowski, którego poparli rozmaici wpływowi przewodnicy konfederacji.

Przez czas owych ożywionych zjazdów, zakonnicy pędzili żywot w zupełnem zamknięciu, trawieni trwogą i niepokojem. Oddani wyłącznie służbie Bożej, nie wyzierali po za ściany kościoła i tylko z okien swoich cel, spoglądali na rojne zgromadzenie dzisiejszych panów Jasnej Góry.

To przymusowe więzienie braci. miało się wkrótce skończyć. Wieść o znacznych siłach konfederackich, w twierdzy zgromadzonych, po-

ruszyła moskali, którzy zwolna odstępowali od miejsc mniejszego znaczenia wojennego. Do twierdzy przybywali ukradkiem posłańcy z relacjami, które nakazywały konfederatom trzymać się na ostrożności, gdyż w razie oblężenia, nagromadzeni w wielkiej liczbie, wobec braku zapasów żywności, byliby zmuszeni rychło poddać twierdzę nieprzyjacielowi.

Tegoż roku w październiku. Konfederaci ubiegli zamiary rosjan co do ich oblegania i rozproszyli się w rozmaite strony, gdzie jak słysząc, prali nieprzyjaciela nieraz z pomyślnym skutkiem, czasem znowu sami brali ciężki chociaż pomniejsze. Konnica polska, pomimo iż nie posiadała dostatecznego oręża, szczególnie działa, w czem wojsko regularne miało przewagę, odznaczała się większą zwrotnością i co najważniejsze, oświatą, która jak powiadają ludzie rycerskiego rzemiosła, niemałe ma na wojnie znaczenie. Mając w klasztorze, niestety, styczność nieustanną z moskalami, nie mogliśmy się dość nadziwić ciemnocie i dzikości już nie tylko żołnierstwa i kozactwa, ale nawet oficerów. Nie jeden z tych ostatnich, nawet wyższej szarży, wielu najzwyczajniejszym rzeczom, znanym naszemu chłopu, dziwował się i poczytywał jako czarodziejstwo służące do sprawowania nieczystej siły.

Razu pewnego, podpułkownik Szałandajew do stołu przez przeora zaproszony, ujrzał klepsydrę do odmierzania czasu przy pomocy piasku, który z jednej kuli, do drugiej się przesypuje. Odsunął się od stołu bojaźliwie, nie przyjął poczęstunku i zapytywany o przyczynę, odpowiedział:

— Że waszmoście jesteście czarnoksiężnikami, generał mnie uprzedzał, jeno ażebyście zamiast wina pijali piasek, tegobym się nie spodziewał.

Z takim to wrogiem walcząc, konfederat miał niejake ułatwienie, gdyż często udawało mu się w pole go wyprowadzać.

W srogości zato, w znęcaniu się nad jeńcem, a już w chciwości cudzego dobytku szczególnie tego, które możnaby wrazić w kieszeń, moskale pewno nie mają sobie równych.

Najeżdżał twierdzę po razy kilka pułkownik Drewitz, straszny okrutnik, istna plaga egipska, który sztrofami i rabunkiem, do rozpaczy nas doprowadzał. W sierpniu tego roku, nie mogąc wycisnąć złota, niby to pod postacią kontrybucji za wpuszczanie do fortecy konfederatów, niecny ten żołdak pomścił się puszczeniem z dymem naszych składów zboża i złupieniem przedmieść do klasztoru należących. A tak,

ogromne szkody zrządził na setki tysięcy złotych.

Gdy żołnierz polski, potrzebą zaskoczony, co się na wojnie może zdarzyć, ba, nawet nie rzadko, zabiera tylko to co mu może być użytecznem, moskał, wcale jako zwierz dziki, zryje i z ziemią zrówna, jedynie gwoili instynktowi niszczenia, o czem, na nasze nieszczęście nieraz się przekonywali.

Nieraz też rzecz ukradnie taką, której użytku wcale niezna, pomimo iż jest ciężka, z wielkim trudem i obarczeniem konia ze sobą tygodniami włóczy, a później ciśnie i tak stratę komuś uczyni a sam korzyści z tego niema żadnej.

U wzgórza pod twierdzą, przy zbieraniu zabitych po batalji Malczewskiego z kozakami Białolipskiego, znaleźliśmy kozaka, który zginął tylko z powodu iż ciężko objuczony, został w tyle za swoimi i nie mógł równie szparko podążać. Jedną ręką trzymając pikę czyli lancę, w drugiej jeszcze i po śmierci, trzymał worek, a w nim pęk pogrzebaczków, jakich się używa do poprawiania drewek na kominie.

Na schyłku tegoż roku. Siła byłoby o rozmaitych zdarzeniach opowiadać, jeno ta wiadomość jest ważna i osobliwego opisania domagająca się, iż zakonnicy Bogu ducha winni, coraz byli wystawiani na szyderstwa i wiele innych

niesprawiedliwości od tych, którzy w sprawach politycznych sami tonąc, do klasztoru urazę żywili iż i on nie politykuje. Jakiego rodzaju polityki od przeora żądali, tego ani oni, ani co najprzedniejsi ojcowie nie potrafili wyimaginować. Wyprawiał w twierdzy co kto chciał i wywracał porządki jak mu fantazja dyktowała.

Przyszła mu ochota, więc rzucił, armaty uprowadzał, śpichrze palił, swoich komendantów wyznaczał, osoby wyświęcone męczył, bił, więził, poniewierał, ale jeszcze im było tego mało. Od czasu do czasu, pod mury jakiś posłaniec podjechał i przerzucił listy, w których roiło się od pośmiewisk i pogróżek.

Czyniono klasztorowi zarzuty, że nie przystępuje wyraźnie do konfederacji. A to poco, zapytać się ośmielę, jeżeli konfederacja wciąż sama do klasztoru wstępowała? Wymawiano mu, iż z moskalami trzyma. Ha, ha, gdyby tak miało być, to jakież zakonnicy otrzymywali od nich podzięki i prerogatywy? Nic, oprócz znęcania się, rabunków, zdzierstw i pogróżek. Prawda, że to przyzwoita nagroda za wierność dla moskali, jak myślicie?

Właśnie też, w trzy niedziele po ostatniej bytności Drewitza, strażę ujrzały zdaleka jakieś wojsko, które się ku nam żwawo zbliżało.

O czem powiadomiony, przeor przybiegł na wały jak ściana białej.

Załamiał ręce, oczy łzami zalane w górę zwrócił i rzeknie:

— Drewitz ani chybi znowu powraca dla spełnienia swoich pogroźek. Znamy go dobrze i wiemy, że każdy jego przyjazd równa się gwałtom i przemocy. Módlmy się bracia do ostoi i opiekunki naszej, Matki Boskiej Częstochowskiej, utajonej w cudownym obrazie. Tam można Pani i na ten raz nie odtrąci nas niewinnie cierpiących i nie odmówi swego miłosierdzia! Do niej się to w nowych cierpieniach i strachu uciekajmy!

Gdy tak mówi i zgromadzoną załogę krzyżem żegna, na równinie u stóp wzgórza, w blaskach słońca, zamigotały znaki jazdy polskiej, co wszystkich objęło otuchą i weselem. Bo chociaż brać konfederacka nieraz dla twierdzy serce miała ojczyzna, niemniej przeto tkwiła w tem dusza rycerstwa polskiego, ludzi swoich, którzy jeżeli z zakonem wojowali, to jedynie dla przeprowadzenia swoich rachunków politycznych.

Hufiec, który ujrzelśmy, był barwny i liczny. Rozłożył się obozem u stóp Jasnej Góry i wysłał kilku żołnierzy do bramy z prośbą w imieniu słynnego już barszczyka, Kazimierza

Pułaskiego, marszałka łomżyńskiego, ażeby konfederatom pozwolono wejść do klasztoru na nabożeństwo.

Po krótkiej naradzie, znając z doświadczenia skutki odwiedzin konfederackich, zakonnicy unikając jednakże drażnienia świeżych gości, taką posłańcom dali odpowiedź:

— Oznajmijcież waćpanowie panu marszałkowi, iż twierdza ma rozkaz komisji wojskowej, ażeby nie ważyła się wpuszczać ani konfederatów ani moskali. Słyszając zaś o wielkich cnotach waszego wodza i o jego przykładnej pobożności, czynimy wyjątek, pozwalając wejść w te mury jemu, dwóm oficerom, tudzież waszemu kapelanowi.

Pułaski natychmiast skorzystał z zaproszenia, przybył do klasztoru z trzema towarzyszami, przystąpił do spowiedzi, przyjął komunię i odwiedził nuncjusza papieskiego Duriniego, goszczącego w klasztorze, z okazji uroczystości koronacji cudownego obrazu.

Tak tedy zyskawszy u klasztoru i nuncjusza dobre zachowanie, marszałek dnia następnego ponowił odwiedziny i znowuż wysłuchał nabożeństwa. Co gdy się działo, żołnierze konfederacy też oznajmili pragnienie pomodlenia się w kaplicy cudownej, a gdy strażę, nie mając od swojej komendy dyspozycji ani słyszeć

o tem nie chciały, siłą wielką wyłamują bramę i hurmem wchodzą do fortecy.

Załoga usiłuje zagrozić drogę, bo zapomniała snąć o guzach, sińcach i nawet ranach, jakie wynosiła z poprzednich starć z tym zapamiętałym narodem. Jakoż i na ten raz konfederaci na czynione przeszkody, odpowiedzieli okrutnem praniem, w którym żołnierstwo klasztorne nie tylko miało sporą garść rannych, ale dwóch zgoła uśmierconych naliczyło.

Zanim zakon zrozumiał i pojął wszystko, co się stało, tak nagle a niespodziewanie, już ci konfederaci zajęli miejsce na wszystkich posterunkach, czyli że twierdza znalazła się całkowicie we władaniu pana marszałka.

Gdy mu przeor ze łzami w oczach takowe podejście wymawiał, jako że po tyle głośnym a pobożnym rycerzu nie spodziewał się tak nagłego podejścia, tenże odrzekł, całując ojca w ramię:

— Jeżeli uczyniłem coś wbrew woli i chęciom waszej wielbności, to wierzajcie mi iż nic tu nie masz, coby się Generalności, czyli mojej władzy wojskowej nie spodobało. Owszem, z jej to rozkazu, twierdzę zająłem, ażeby ją i miejsce cudowne strzedz od napaści moskiewskiej bronić, nawet w wypadku potrzeby głowę za nią położyć. Co zaś do klasztoru, to bądźcie

przekonani ojcowie, iż ja oraz całe moje wojsko, jesteśmy gorliwymi wyznawcami Najświętszej Panienki tudzież waszymi powolnymi sługami, którzy w swoim obrębie najspokojniej możecie żyć i panować, a prócz szacunku i opieki, nic gorszego od nas nie doznacie, na co przysięgam.

Cóż miał uczynić przeor? Musiał rzecz oczywista ustąpić i jeszcze pokazywać po sobie, iż mu ta awantura przypada do serca.

Jakkolwiek to co o marszałku Kazimierzu Puławskiem poniżej powiem, źle świadczy o załodze naszej starej, jako iż wierny sługa nie powinien miłować napastnika, który jego prawemu panu władzę odebrał i tę sobie przywłaszczył, lecz nie wyroki sądowe piszę, a zdarzenia prawdziwe.

Owóż marszałek miał w sobie miód jakowyś, do którego wszyscy w klasztorze lgnęli. Okrutny był służbista, surowy i wymagający, jednakże miłem swoim zachowaniem, najbardziej zawziętego żołnierza do siebie przywiązać potrafił.

Był to pan bardzo jeszcze młody, bo trzydziestu lat nie liczący. Szczupły, lecz zręczny, krzepki i żyłasty, nosił włosy przydługie, ku tyłowi głowy zaczesane i mały wąsik, po żołniersku w górę podwinięty. Lubował się w ubiorze

huzarskim, który ozdobnemi sznureczkami i szamerunkiem był obszyty.

Nie bacząc na tak znaczną młodość, był to żołnierz w ciągłych od początku konfederacji zajazdach i utarczkach wyćwiczony, a że lwią odwagę miał i zapał niepospolity do trapienia wroga, o tem później samiśmy się dowodnie przekonali.

Na czoło tak znacznego oddziału postawiony i godności sprawując wcale wysokie, jeżeli Generalność prawie młokosa marszałkiem obwołała, nie miał w sobie nic z pychy i byle gemejny, jeżeli ów swoje obowiązki pilnie sprawował, już za kamrata równego sobie uważał, a jaką pracą zatrudniony, siadał na lawecie lub na stosie drzewa, z żołnierstwem po bratersku rozprawiał i rzemiosła wojennego nauczał.

Przyprowadził ze sobą do tysiąca różnej jazdy, jako ułanów i husarzów (huzarów), z którymi częste egzercirunki odprawiał, tem bardziej iż był to lud w owym gorącym czasie na prędcę do wojska zabrany i jeszcze surowy, chociaż mu fantazji pod zdatnym wodzem nie brakowało.

Oficjerowie francuscy zajęli się poprawianiem wałów i umacnianiem twierdzy, aby nie tak łatwo była wystawiona na ogień nieprzyjacielski. I gdy już w tych robotach dość znacz-

ny okazał się postęp, Pułaski część swojego wojska pozostawivszy, z resztą wychodzi z twierdzy.

Zaczepny i śmiały, tak sobie obmyślił i ob rachował, iż na nic się nie przyda siedzieć w murach i na nieprzyjaciela czekać, aż się sam pofatyguje. Pojechał więc oddziałów moskiewskich po okolicach szukać, one gromić i tak wroga kraj najeżdżającego urywać a skubać.

Po powrocie, żołnierze rozpowiadali iż pomiędzy Piotrkowem a Częstochową nie mało dał się we znaki Drewitzowi, mając do pomocy Zarębę, z którego oddziałem spotkał się i tak wspólnie krwi kozakom a dragonom rosyjskim utaczali.

Twardą już jesienią, powraca marszałek na Jasną Górę, wielce rad, że pod jego nieobecność roboty fortyfikacyjne były na czysto wykończone a żywność dla wojska i furaże pozwożone.

Twierdza, opatrzona teraz nową linją wałów, poważną przedstawiała oporę, a dla wrogów, gdyby ją chcieli nachodzić, twardym była orzechem do zgryzienia.

Jakby właśnie dla wypróbowania sprawności twierdzy a także załogi, zdarzyła się wcale niepospolita, przytem zgoła paskudna okazja.

Ktoś, zacny widać człowiek, dał znać marszałkowi, iż pewien brudas i nędznik z pomiędzy załogi, nie wart aby go święta ziemia nosiła (osoby nie wymienię, bo po cóż czernić pocziwe nazwisko), wszedł w konszachty z podpułkownikiem Drewitzem i wzięwszy kubana, zdradził urządzenia twierdzy, ze wskazaniem sposobów jej zdobycia.

Mając dowody zdrady w ręku, Pułaski nie-szczęśnika i jego faktorów na miejscu rozsiekął, sam zaś, nic po sobie poznać nie dając, nieprzyjaciela niby się nie spodziewał, a naprawdę, zasadzkę na niego uczynił.

Drewitz pewny swego, bo nic nie wiedział o wykryciu swoich współników w klasztorze, podchodzi do twierdzy, gdyż zdrajca obiecał, że umowę zawarł z załogą, która strzelać będzie pustemi ładunkami.

Naraz posypały się kule i bomby, które moskali na nic podobnego nieprzygotowanych kładą szeroką ławą. W dodatku, z fortecy wypada wycieczka i dokonywa dzieła zniszczenia wśród rosjan prawie oszalałych tą niespodzianką.

Próbował ów Drewitz wtargnąć na Jasną Górę jeszcze razy kilka, lecz nie miał szczęścia do Puławskiego, który każde jego usiłowanie odplacał mu krwawą kąpielą.

Lecz i twierdza na tak częstych potyczkach nie małe ponosiła szkody. Drewitz w swojej zacieklej złości, iż mu się jego zamiary zdobycia Jasnej Góry nie udają, nie szczędził sposobów zmierzających do zrujnowania wałów i budowli. W klasztorze i na kościele odpadały tynki, od bomb zapalających zdarzały się pożary, które nieraz tylko z wielkim trudem gasić przychodziło.

Zakonnicy, którzy teraz do spraw wojennych nie mieszały się, ani do zarządzania twierdzą nie mieli dostępu, wielce narzekali na coraz częstsze oblężenia, słusznie głosząc, że każda nowa wygrana, zbliża całkowite zniszczenie fortecy. Bowiem im mężniej Pułaski odpędzał moskali, z tem większą furją tamci powracali, i coraz nowe machinacje, przeciwko upartej twierdzy wymyślali.

Rok 1771. Powitaliśmy rok nowy klęskami, których nawet w przybliżeniu obliczyć niepodobna. A wszystkiemu już chyba winien był marszałek łomżyński, który głuchym będąc na tkliwe błagania braci klasztornej, ażeby ich pozostawił własnemu losowi i siły moskiewskiej nie drażnił, przeciwnie w upór wpadł i budząc ich gniew niesłychaną swoją zaciętością, tem większe napaści przyciągał.

Dnia 2-go stycznia, w oczekiwaniu nowego szturmu, Pułaski dla oczyszczenia miejsca, potrzebnego do celniejszego strzelania z dział, budynki klasztorne zarówno na przedmieściach jak i na folwarkach do cna popalił. Zakon patrząc na te swoje krwawe krzywdy, martwił się srodze, bo już też horda tatarska większych strat nie uczyniłaby.

Nie w smak poszło i to moskalom iż znaleźli się po pożarze w miejscu odkrytem i na prążenie z armat wystawionem. Dla własnej osłony, w ciągu nocy usypali srogie wały i na tych to moździerze ustawiwszy, twierdzą gradem kul obrzucali. Pomimo to, konfederaci do znaczniejszych szkód w twierdzy nie dopuścili, wysławszy wycieczkę, która do dwustu moskali w pień wycięła, a nawet trzy wielkie armaty rosyjskie zagwoździła.

Drewitz pojąć nie może skąd oddział pojedynczy tak słaby, czerpie siły do mierzenia się, a nawet zwyciężania wojska regularnego, którego braki, coraz to nowe kompanje po każdej walce uzupełniały.

Mniemał również iż twierdza od jego bomb i kartaczów poniosła znaczne uszkodzenia a pragnąc się o tem przekonać, posyła do fortecy zapłaconych szpiegów. Żaden z nich jednak do niego nie powrócił, konfederaci bowiem po-

znawali się na sposobach i takiego wysłańca naprzód ćwiczyli, a następnie w lochach zamykali. W dodatku, Pułaski po każdym takim wypadku słał zawiadomienia do Drewitza, który ze złości w palce się kąsał i kłął, że mu losy naślały tak upartego przeciwnika.

Coraz bardziej ciążyła mu jego niezaradność, lecz mając od swojej władzy surowy nakaz opanowania twierdzy, rozłożył się kwaterą przy kościele Ś-tej Barbary i próbując wciąż nowych sposobów, nie ustępował.

Naraz strzeliła mu do głowy niehumanitarna myśl, od której dusza się w człowieku wzdryga. Pospędzał chłopstwo z wiosek okolicznych, ustawił w szeregi i ukrywając za nieszczęśliwymi szeregi wojska, bijąc opornych knutami, nakazuje następować. Ale niecny ten atak, jak i poprzednie, nie powiódł się Drewitzowi. Konfederaci dniem i nocą na napaści przygotowani, w szeregach moskiewskich, chłopstwem ubezpieczonych, poczynili krwawe spustoszenia. Miało tym razem paść zgórą 500 ludzi, gdy w twierdzy strat w żołnierzu niebyło prawie żadnych.

Tak upływały dni na nieustannych szturmach i wycieczkach. Wreszcie dnia czternastego, Drewitz, widząc, że żadną miarą z Pułaskim nie wskóra, cicho, jak wilk, zaczął się cofać, lecz

dognany przez konfederatów, nie tylko ludzi znowuż, ale 30 fur ż żywnością i przyborami wojennymi postradał, przyczem i służba obozowa dostała się do niewoli.

Po odstąpieniu Drewitza, większa nieco w serca zakonników wstąpiła otucha. Kalkulowali, iż marszałek łomżyński, przepłoszywszy moskali, nie obecnie nie mając w twierdzy do czynienia, jako żołnierz na skórę wroga zawzięty, pójdzie z Jasnej Góry szukać szczęścia na podjazdach, do czego go listami inni marszałkowie ustawicznie wzywali. On jednakże oka z okolicy nie spuszczał i czujny wielce na wszystko co się dokoła działo, robił co prawda częste wycieczki, lecz z fortecy całkowitego wojska nie wyprowadzał i wciąż krzątał się około wzmacniania fortyfikacji.

Jakoś około połowy czerwca, zjechały pod Częstochowę wojska komendantów Szyca i Zaremby, połączyły się z oddziałem Pułaskiego i jak mówiono, miały zamiar łącznemi siłami pójść na wyprawę. Nagle nadchodzą wieści o zbliżaniu się nieprzyjaciela, który najpewniej nie wiedział o zjeździe sił konfederackich w sile znacznej, bo liczącej do 3000 koni. Konfederaci zajęli stanowiska pod osłoną dział jasnogórskich, unikali bowiem ryzyka, nie wiedząc z jaką liczbą moskali mieć będą do czynienia.

Za zbliżaniem się wroga, poznano w nim trzy połączone oddziały, mianowicie dwa rosyjskie Drewitza i Düringa, trzeci zaś składał się z ułanów Branickiego, który będąc na służbie królewskiej, walczył wraz z moskalami przeciwko barszczyźnie.

Krażyły pogłoski, które na tem miejscu powtarzam, nie biorąc za nie odpowiedzialności, jakoby w łonie Branickiego, łowczego koronnego, serce się poruszyło i żal mu było wystawiać konfederatów na skutki sił przeważających. Może też pragnął uchronić klasztor i twierdzę od nowych szkód w razie bombardowania. Dość, że namówił dowódców rosyjskich, ażeby odsunęli się od wzgórza i wstrzymali kroki zaczepne, ponieważ on, ma nadzieję, że mu się uda skłonić Pułaskiego do poddania twierdzy, na co się zgodzili.

Nazajutrz z rana, oddział konfederatów podczas objazdu fortecy zdybał się z patrolem Branickiego i nie tylko mu skórę tęgo przetrzepał, lecz i kilkunastu ułanów wziął do niewoli.

Na nic się też łowczemu nie przydało posyłanie do Pułaskiego oficerów z propozycją wydania twierdzy, ten jednak odpowiedział drwinami, mówiąc: „Któż wam ją broni zajmować? Macie na nią ochotę, więc próbujcie“.

Po wymianie strzałów, moskale z Branic-

kim, widząc że z marszałkiem jest sprawa ciężka, zagłodzone swoje wojsko, gdyż dokoła wie były porujnowano a o żywność trudno, od Jasnej Góry odstąpili.

Położenie Drewitza było ze wszech miar nie do pozazdroszczenia. Wiadomość o jego nieustannych niepowodzeniach, doszła aż do ucha imperatorowej, która znowuż przez swego ministra rezydenta warszawskiego Salderna gwałtownie domagała się zakończenia sprawy „ze śmiesznym kurnikiem“.

Powracał więc podpułkownik to sam, to w towarzystwie oddziałów moskiewskich Zacharowa, Zabudły i innych, co się wszakże kończyło porażkami, Pułaski bowiem silnie się obwarowawszy, za każdym razem napaści odpie-rał, a swojemi częstemi wycieczkami szkody ro-sjanom wyrządzał, czem ogromną sławę sobie zyskał nie tylko u swoich, bo nawet moskale odżywali się o nim z uszanowaniem, iż rozpo-rządzając tak małym oddziałem, cudów niemal dokonywał.

Rok 1772. Wszystko na świecie ma swój koniec, więc i z marszałkiem łomżyńskim sta-wało się coraz kruszej. Boć to niema zgoła po-dobieństwa, żeby w ciągu tak długiego czasu wojny prowadzić bez wytchnienia, bez żadnego oparcia, bez grosza i dostaw żywności.

Forteca prawie bez przerwy otaczana przez nieprzyjaciela, ani mogła pomyśleć o komunikowaniu się ze światem. Wyrosła z tego nędza zupełna, do tego stopnia, że ludzie całymi dniami nie jadali, a konie, których z górą tysiąc stało na stajni, z głodu padały. Żołnierze chodzili prawie nago, bo w bitwach nieustannych wszystko na sobie zdarli i ledwie który, podczas grzebania trupów nieprzyjacielskich, szczęśliwym trafem mógł się zaopatrzyć w jakie buty lub kaftan.

Już dochodziło do tego, że połowa ludzi mogła chodzić na wycieczki, pozostali zaś w samych zdartych koszulach, wygrzewali się na słońcu, podobniejsi do żebraków, niż do żołnierzy.

Brak opału był tak wielki, że dla uwarzenia nędznej strawy, załoga z zabudowań gospodarskich odrywała podłogi, wyjmowała belki, gdzieindziej ściany rozbierała.

Wszystkiego złego nawarżyła nieogłębność młodego marszałka, który rwał się jeno do bitwy, nie kalkulując, że wojna dużych nakładów wymaga i że bez pieniędzy niemasz nic na świecie. Widząc w końcu, że zabrnął ze swoim gospodarstwem za daleko, oraz że w takim stanie rzeczy dłużej opierać się w twierdzy nie może, uszedł Pułaski z kilku tylko ludźmi, pozostawia-

jąc fortecę na opiece Radzymińskiego, marszałka sanockiego, i Zielińskiego, konsyljarza dobrzyńskiego.

Opuścił Jasną Górę z nikim się nie pożegnawszy, w przebraniu, po 20 miesiącach walk o utrzymanie tego posterunku.

Wieść o ujściu wodza, na załogę oddziaływała przygnębiająco. Rozluźniła się karność a rozpoczęły dezerccje, które komendanci tylko z wielkim trudem mogli powstrzymać i ukrócić.

Wtedy to Generalność nakazała twierdzę zwrócić klasztorowi, lecz ojcowie podziękowali za tę łaskę, głównie z powodu, że obawiali się wojska konfederackiego, które oddawna żołdu nie otrzymując, mogłoby się dopuścić jakich wybryków. Powtóre, Drewitz stał teraz w pewnem oddaleniu, lecz nie spuszczał oka z twierdzy, więc w razie gdyby przeor znowu wystąpił w roli komendanta, nie omieszkałby się mścić, wrzekomo za przystąpienie ojców do konfederacji.

Byli jednak pomiędzy braćmi statyści, którzy może z wielką słuszością kalkulowali, iż moskale, po ujściu Pułaskiego, mając bardziej ułatwioną drogę do twierdzy, umyślnie z tego nie korzystali.

Wiedzieli rosjanie że duch wojska upadł, że w twierdzy panują zamieszania, nędza i głód,

pragnęli przeto ażeby się załoga z klasztorem wzajemnie pożarły, wtedy dopiero moskale przyjdą do gotowego i zagarną twierdzę wraz z jej mieszkańcami.

Że jednak wbrew ich oczekiwaniom, do ekscesów jakoś nie dochodziło, zniecierpliwieni, dnia 30 lipca rozpoczęli rosjanie nowe oblężenie, ogarniając fortecę ze wszech stron znacznymi siłami i zataczając wielkie działa oblężnicze.

Bronił się jak mógł Radzymiński, lecz mógł dokazać nie wiele. Straszny głód, wśród wojska i zakonników sprowadził krwawe biegunki, w magazynach zabrakło prochu, słowem niemoc rozpaczliwa ogarnęła tych, co walczyć byli zmuszeni, również i tych, którzy na klęskę patrzyli.

Wtedy to zaczęła się gromadna dezercja. Wymykano się nocą, już nie pojedynczo, ale całymi oddziałami. Szli nędzarze ze wszystkiego, bo i ze zdrowia ogołoceni i trafiali z deszczu pod rynnę, moskale bowiem uciekinierów chwyтали i za dobre pieniądze do wojska pruskiego sprzedawali.

Ostatnie oblężenie Jasnej Góry przez wojska moskiewskie zakończyło się rozwiązaniem załóg, zarówno konfederackiej jak i niedobitków dawnej klasztornej.

W połowie sierpnia 1772 r. dekret króla Stanisława Augusta, przez pełnomocnika Katarzyny, Salderna potwierdzony, zezwolił na rozpuszczenie wojska.

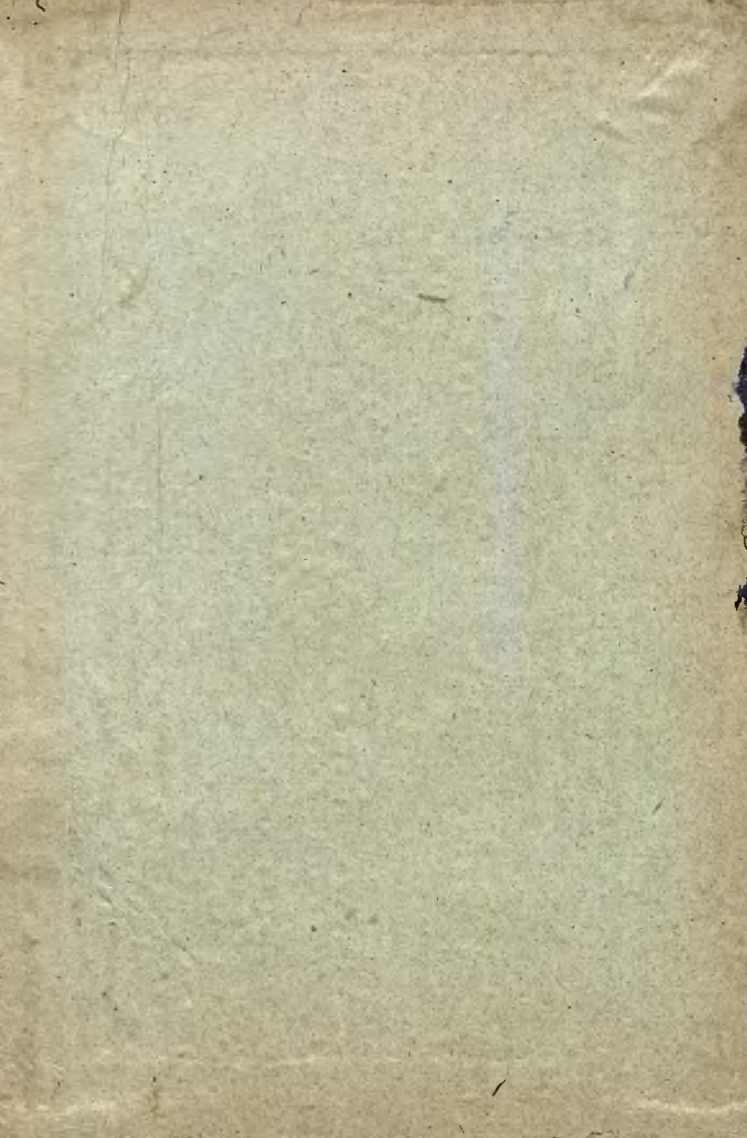
Dnia 18 sierpnia 1772 r. załoga ustąpiła, oddając w ręce rosjan twierdzę, która też wkrótce jako miejsce obronne, istnieć przestała.

K o n i e c .









Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000675853



I 339559